



Lodowa gra

TOM 05

TOMÁŠ NĚMEC

W OŚWIECIE
MIROSLAWA ZAMBORA I JÓSEFA WPROCHŁAKI





TOMÁŠ NĚMEC

W ŚWIECIE
MIROSLAVA ŽAMBOCHA I JIŘÍEGO W. PROCHÁZKI



Lodowa gra

TOM **05**

TEUMACZYŁ
Andrzej Kossakowski

ILUSTRACJE
Dominik Broniek

fabryka słów

Lublin 2011

SPIS TREŚCI

WYENNEŃSKA KARAWANA

CZTERDZIEŚCI TYSIĘCY DNI PÓŹNIEJ

ŁOWCY MAMUTÓW

KOBIETA NA ZŁY CZAS

WŁADCA REWIRU

SKOK NA ZIEMIĘ

ZBYT WIELU AGENTÓW

CZAS APOKALIPSY

UCIECZKA Z GENWY (REMAKE)

WYENNEŃSKA KARAWANA



Kovař ześliznął się na zaśnieżoną ziemię. Nawet poprzez wycie szalejącej nawałnicy usłyszał, jak kły psa, wielkiego niczym dobrze zbudowany grizzly, kłapnęły, nie dosięgając celu. Podniósł się, złapał zdrętwiałe ze strachu dziecko i rzucił je tam, gdzie pośród zawieruchy dostrzegł ciemne sylwetki spanikowanych rodziców. Zrobił przewrót, schodząc z linii kolejnego ataku rozszalałego zwierzęcia.

Namacał nóż, ale nie zdążył go wyciągnąć. Bestia rzuciła się błyskawicznie. Kovař przetoczył się na bok, odskoczył. Pędząca masa mięśni, kości i ścięgien prawie go ominęła. Pies otarł się o niego bokiem, ale to wystarczyło, żeby Kovař wyleciał w powietrze i po kilkumetrowym locie gruchnął na zlodowaciałą zaspę.

– Tylko poćwiczyć lądowania i mógłbym zatrudnić się jako samolot – mruknął, leżąc w świeżym śniegu.

Szybko przewalił się w bok.

Pies znów zaatakował; szarżując poprzez wirujący śnieg, wyglądał jak rozwścieczony wilczy bóg Fenrir ze skandynawskich legend.

Kovař wstał i czekał. Uchylił się dopiero w chwili, kiedy zwierz skoczył. Silny poryw wiatru zniweczył jednak plan agenta. Nie pozwolił wykonać zamierzonego uniku i zepchnął prosto na linię ataku psa. Kovař instynktownie padł na ziemię, ale było już za późno.

Pazury rozerwały ciepłą kurtkę na ramieniu, dosięgając ciała. Ostry impuls bólu dotarł do mózgu Kovařa, a gdy pierwszy szok minął, pozostała tylko świadoma, chłodno myśląca maszyna do zabijania.

John Francis Kovař zerwał się, w momencie gdy pies odwracał się do nowego ataku.

– Żarty się skończyły, kolego – wycedził agent przez zaciśnięte zęby i ruszył naprzeciw bestii.

Atakować tak wielkie zwierzę gołymi rękami równało się szaleństwu, ale Kovař dobrze wiedział, że szalone sytuacje wymagają szalonych pomysłów. I szalonych ludzi, a takim bezspornie był.

Kiedy pies skoczył, Kovař zrobił wyrok i rzucił się na ziemię z wyciągniętymi rękoma. Oparł się na nich, przegiął ciało i kopnął nogami z całą siłą. Zdezorientowana bestia nie mogła już zmienić toru skoku i zainkasowała twardy cios w pysk grubymi podszwami

butów.



Zderzenie odrzuciło Kovařa na bok. Kości i ścięgna zaśpiewały arię pełną boleści, a on mimowolnie przypomniał sobie pierwsze dni w jednostkach specjalnych. Po kilkugodzinnych, wyczerpujących ćwiczeniach przewroty kończyły się w podobny sposób.

Wypchnął z myśli zabawne uwagi instruktora prowadzącego ćwiczenia i z trudem wstał. Ogromny pies leżał opodal, trząsł głową, charczał, niezdarnie usiłując wstać.

Dopiero teraz Kovař miał wystarczająco dużo czasu, żeby wyciągnąć nóż. Trzymając w ręce porządną kawał ostrej stali siedmiocalowej długości, zbliżył się do oszołomionego zwierzęcia i zamierzył do śmiertelnego pchnięcia.

– Nie, panie! Niech go pan nie zabija!

Człowiek, który pędził ku niemu poprzez zamieć, wymachiwał dziko rękami.

Dobiegł aż do Kovařa i stanął między nim a psem. Agent mówił płynnie po niemiecku, więc od razu zrozumiał, że różnice językowe są w tym świecie większe niż się wydawało.

– To zwierzę jest wściekłe, powinno zostać zabite – wrzasnął wśród wyjącej burzy i złapał się za ramię, oblepione zimną, skrzepłą krwią.

Mężczyzna, nic nie mówiąc, wyciągnął dziwaczny pistolet i strzelił psu w kark.

Gruba strzałka wbiła się w kudłatą sierść prawie na całą długość. Środek usypiający musiał być silny, bo zwierzę jeszcze kilka razy zacharczało i przestało się ruszać.

– Nie mogę go stracić, nie stać mnie na innego! – krzyknął mężczyzna.

Spod futrzanego kaptura i grubego szala popatrzyły na Kovařa oczy zmęczonego człowieka.

– To ta burza, Króliczek zawsze staje się nerwowy podczas burzy!

Kovař znów zwątpił w jakość szybkiego kursu tutejszej niemczyzny, jaki odbył w agencji.

– Króliczek? – ryknął z niedowierzaniem, ale przybysz już go nie słyszał.

Razem z ludźmi, którzy nadbiegli na pomoc, zaczął przeciągać bezwładne ciało na płachtę zaopatrzoną na rogach w mocne liny.

Kiedy im się w końcu udało, odwrócił się do Kovařa:

– Niech pan idzie ze mną, przeczeka pan u nas. Moja żona pana opatrzy!

Kovař zawiązał szal na twarzy, naciągnął kaptur i kiwnął głową.

Wraz z ludźmi ciągnącymi płachtę doszedł do miejsca, w którym wyrzucił go fantom czasoprzestrzenny. Sanie, wykonane dokładnie według projektu szalonego geniusza von Wondera, mające służyć tylko podczas przejścia do innego wymiaru, rozpadły się. Celowo zbudowano je z użyciem technologii nieznannej w tym świecie, stały się więc natychmiast nieużytecznym złomem, przysypanym już śniegiem.

Podczas gdy mężczyźni wciągnęli uśpionego psa do, wpuszczonego w ziemię, prowizorycznego igloo w którym przebywały też inne zwierzęta, Kovař wygrzebał ze śniegu swój worek. Nic z jego zawartości nie zginęło, jak stwierdził po pobieżnym przeglądzie.

Nawałnica przybierała na sile, śnieg pędzony porywami wiatru wirował coraz szybciej.

Właściciel Króliczka znów zwrócił się do Kovařa.

– Gdzie pański zaprzęg? – ryknął.

– Podróżuję transportem masowym – wykrzyczał Kovař z góry przygotowaną

odpowiedź i otarł śnieg z oczu.

Mężczyzna skinął, dając znak, żeby poszedł za nim.

Przebili się poprzez zamieć do sań, służących w tym świecie za środek transportu między miastami zagubionymi w lodowej pustce. W rzeczywistości była to szeroka przyczepa mieszkalna umocowana na dwóch mocnych płozach, szeroko rozstawionych, aby pojazd zachował stabilność podczas jazdy po nierównym, zaśnieżonym terenie.

Kovař się rozejrzał. W gęstniejącym mroku poprzez huczenie wiatru przebijało się wycie psów i okrzyki ludzi. Przyczepy, łudząco podobne do tej, przy której stał, podjeżdżały jedna za drugą. Przypominały wieżyczki łodzi podwodnych wystające ponad powierzchnię oceanu.

Mężczyzna podszedł do tylnej części sań i nasadził solidną korbę na jeden z dwóch czopów umieszczonych nad podłogą. Zaczął nią kręcić, co uruchomiło system ukrytych przekładni, które ruszyły do pracy ze skrzypieniem i grzechotaniem słyszalnym nawet mimo hałasu burzy.

Kovař zauważył, że do wykopanej jamy odpowiadającej kształtem przyczepie wsunęły się umieszczone w narożnikach stalowe belki. Mężczyzna przełożył korbę na drugi czop, tym razem wprawiając w ruch płozy, na których dotychczas opierał się ciężar pojazdu. Uniosły się do poziomu podłogi i wsunęły do wewnątrz. Pozostało znów przełożyć korbę na pierwszy czop i, kręcąc nią w odwrotnym kierunku, przy pomocy przekładni ostrożnie opuścić domek do przygotowanego dołu.

Kovař gwizdnął z uznaniem w głębi szala. Nawet ekstremalnie złe warunki i ograniczone możliwości nie zapędziły ludzi w kozi róg. Jak szczury, pomyślał, potrafimy wszystko przeżyć i do wszystkiego się przystosować.

Przyczepa znieruchomiała, mężczyzna wyjął korbę i wlażł na dach. Otworzył klapę i gestem zaprosił Kovařa.

Ten podał mu swój worek i, precyzyjnie się przez wąski otwór, zszedł po krótkiej drabinie do wnętrza. Gospodarz wszedł za nim.

W pomieszczeniu oświetlonym kilkoma świeczkami było ciepło i przytulnie. Kovař strząsnął śnieg z brody, odwinął szal i ściągnął kaptur oraz rękawice. Gdy mężczyzna zamknął za nimi klapę, huczenie burzy przycichło, jakby dobiegając z innego świata.

JFK rozejrzał się i doszedł do wniosku, że nieczęsto widywał tak doskonałą harmonię między wygodą pomieszczenia a jego funkcjonalnością. Umeblowanie, składające się z niskiego stołu przymocowanego na stałe do podłogi oraz dwóch solidnych skrzyń, uzupełniał niewielki, żelazny piecyk, w którym palił się ogień. Wokół stołu porozkładane były skórzane poduszki, służące do siedzenia.

Najbardziej zainteresowało Johna jednak pokrywające ściany, podłogę i sufit futro o sztywnej, grubej sierści.

Podczas szkolenia, które przed wyprawą przeprowadził z nim informatyk zespołu profesora von Wondera dowiedział się, że to wyprawiona skóra mastodonta, najpotężniejszego przedstawiciela miejscowej fauny. Była idealnym izolatorem od zimna i dlatego stanowiła niezbędne wyposażenie każdego pomieszczenia mieszkalnego.

– Chciałbym panu podziękować za uratowanie Irenn – zwrócił się do Kovařa gospodarz, wyciągając rękę.

Wprawdzie w jego oczach widać było zmęczenie, ale nie sprawiał wrażenia człowieka, którego ciągła walka o przeżycie kosztowałyby zbyt wiele sił. Szeroką twarz dobrze odżywionego czterdziestolatka cechowały dobroduszość i inteligencja, poruszał się energicznie i miał pewny uścisk dłoni.



– Nazywam się Adam Korbmann – przedstawił się. – Jestem handlowcem.

– Schmied^[1] – Kovař szybko podał niemiecką wersję swego nazwiska. Zanim zdążył dodać imiona, mężczyzna przerwał mu, mówiąc:

– Doprawdy? Dobry kowal wszędzie jest mile widziany, herr...

Korbmann zaskoczył Johna. Ten już miał mu wyjaśnić pomyłkę polegającą na zamianie nazwiska z zawodem, ale szybko się rozmyślił. Jakąś profesję powinien przecież posiadać. Społeczeństwo tej doby funkcjonowało w myśl prostych zasad, pozwalających przeżyć w trudnych warunkach: jeśli nie jesteś częścią całości, jesteś nieużyteczny i wspólnota cię wyklucza. A samotność oznacza śmierć.

– Nowotny. – JFK rzucił pierwsze nazwisko, jakie przyszło mu do głowy. – Hans Nowotny.

Nie było specjalnie oryginalne, ale usprawiedliwiało jego akcent. Nieporozumienie zaowocowało dobrym rozwiązaniem.

Kovař usłyszał za sobą jakiś szelest. Odwrócił się i ujrzał niewysoką, lecz mocno zbudowaną kobietę o piwnych oczach, włosach związanych w węzeł i twarzą, z której przeżyte doświadczenia nie zdołały zetrzeć prawie dziecięcych rysów.

– Ja też chcę panu podziękować za uratowanie życia naszej córce, herr Nowotny – powiedziała niskim głosem.

– Moja żona, Gitta – przedstawił ją Korbmann.

JFK z uśmiechem uściśnął drobną dłoń. Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, ubiegła go:

– I za to, jak wspaniale unieszkodliwił pan Króliczka. Już się bałam, że coś mu się stanie.

Teraz, zdając sobie sprawę, w jakich warunkach żyli ci ludzie, Kovař uświadomił sobie, że strata psa byłaby dla nich niepowetowaną szkodą. Bez niego ich zaprzęg tylko z najwyższym trudem mógłby utrzymać tempo posuwania się karawany, a pozostanie w tyle pośród lodowej pustki równałoby się śmierci.

– Nie musi mi pani dziękować, madame. Z przyjemnością pomogłem – odparł Kovař z lekkim ukłonem.

Kobiecie drgnęły kąciuki ust, a w oczach pojawiło się rozbawienie.

– Proszę się rozebrać – powiedziała. – Opatrzę pana.

Kovař posłuchał jej, mając nadzieję, że jego ubranie jest dobrą imitacją tutejszej odzieży i nie wzbudzi podejrzeń. Podczas gdy się rozbierał, Gitta otworzyła jedną ze skrzyń, przepatrując jej zawartość, a Korbmann postawił na piecyku emaliowany dzbanek napełniony wodą.

Gitta Korbmann nawet w świetle Kovařa mogłaby zakasować niejedną pielęgniarkę. Umiejętnie usunęła strzępki odzieży i zaschniętą krew z trzech niezbyt głębokich ran, natarła szramy jakąś maścią o obrzydliwym zapachu i zręcznie zszyła.

Korbmann nalał wrzątku do czterech poobijanych metalowych kubków, do jednego z nich wsypał garść drobnych, suchych listeczków, a do pozostałych trzech dolał przejrzystej cieczy ze szklanej butelki o grubych ściankach. Zapachniało alkoholem.

– Za pana zdrowie, herr Nowotny. – Uniósł kubek z parującym napojem, a kiedy pozostali stuknęli się z nim, dorzucił: – I za to, żebyśmy pomyślnie dotarli do Praagu.

JFK łyknął dość ostrożnie, ale i tak poczuł się jak uliczny sztukmistrz, popisujący się połykaniem ognia. Chociaż alkohol był rozcieńczony, mimo to wycisnął mu łzy z oczu.

– Ma swoją moc, nie? – Korbmann mrugnął do niego porozumiewawczo. – Przywieźli ją aż z Helsyngu.

Kovař pokiwał głową, starając się przybrać minę wyrażającą uznanie, lecz przyrzekł sobie, że następny łyk upije jeszcze ostrożniej.

Jednak gdy spojrział do kubka Gitty Korbmann, stwierdził, że jest w połowie pusty. Przodkowie tej dobrej kobiety zdecydowanie musieli być połykaczami ognia, pomyślał. Zaraz szybko poprawił ten irracjonalny osąd: pewnie po prostu wzrastała w warunkach o wiele surowszych niż te, które występują w naszym świecie.

– Pójdę do Irenn. – Gitta pocałowała męża w policzek. – Zaproponuj naszemu gościowi coś do jedzenia, musi być głodny – dodała, odgarniając futrzaną zasłonę, za

którą spała dziewczynka.

Po obfitym posiłku Korbmann zaserwował kolejną dawkę zabójczego napitku, uśmiechając się przy tym łobuzersko. Potem zgasił ogień w piecyku, obawiając się, że zadymka zasypie wylot komina. Ogrzewanie nie było już potrzebne, warstwa śniegu i futro mastodonta utrzymają ciepło do czasu, aż burza przeminie.

Siedzieli przy stole, milcząc, zatopieni we własnych myślach i słuchali potrzaskiwania ochładzającego się metalu. Rany Kovařa trochę dokuczały, jednak nie na tyle, żeby im poświęcać większą uwagę.

– Pana przodkowie byli Czechami? – cicho zapytał Korbmann.

Kovař oczekiwał takiego pytania, odpowiedział więc bez wahania:

– Tylko ojciec. Urodziłem się już w Wyennie.

Zapatrzył się przed siebie, jakby wspominał czasy swego dzieciństwa.

Korbmann milczał, chociaż kolejne pytanie nasuwało się samo. JFK dodał następny punkt na plus do oceny osoby gospodarza, za to, że pozwolił gościowi kontynuować rozmowę, jeśli będzie miał na to ochotę. Może taki był miejscowy obyczaj, gdy się jest zmuszonym do stałego kontaktu z innymi, bardziej szanuje się prywatność.

– Potrzebowałem odmiany – powiedział po chwili Kovař. – A Prah... Praag – poprawił się – wydaje mi się idealnym wyborem. Zawsze chciałem zobaczyć miasto, w którym urodzili się moi dziadkowie.

– Zajmuje pana historia, panie Nowotny? – Korbmann spojrzał z zainteresowaniem, siorbiąc z kubka.

W jego badawczym spojrzeniu kryło się coś, czego Kovař nie potrafił zidentyfikować.

– Nie rozumiem. – Pokręcił głową.

W rzeczywistości dobrze wiedział, o co chodzi, i przeklinał się w duchu za swoje przejęzyczenie.

– Przypuszczam, że chciał pan powiedzieć Praha. – Korbmann napił się, wciąż patrząc Kovařowi w oczy. – Tak o tym mieście mówiono przed Sądnym Dniem.

JFK intensywnie myślał i w końcu wykorzystał pierwszy pomysł, na jaki wpadł.

– Nie, nie zajmuję się historią, herr Korbmann. To z powodu mojej babci... Nigdy nie mówiła o swoim rodzinnym mieście inaczej niż Praha. Pozwoliłem sobie na wspomnienia.

Odrobinę się przy tym wyjaśnieniu spocił. Było kiepskie, kulawe i garbate, ale mimo to miał nadzieję, że mu Korbmann uwierzy.

Gospodarz wyglądał na zamyślonego, lecz w końcu uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Proszę mi wybaczyć wypytywanie, to skrzywienie zawodowe. Całe życie pracuję w

artefaktach, chciałem porozmawiać z kimś, kto zna się na mojej dziedzinie.

Wzmianka o zajęciu Korbmanna zainteresowała Kovařa. Zaginiony agent też pojawił się tutaj jako handlarz artefaktami.

– Muszę pana rozczarować – powiedział, łykając solidną porcją trunku. – Jestem zwyczajnym kowalem.

Korbmann pomachał palcem.

– Jeśli jest pan nie tylko zwyczajnym, ale i dobrym kowalem, to mógłbym panu załatwić przyzwoite zatrudnienie w mieście. Mam tam niezłe znajomości wśród członków cechów rzemieślniczych. Choć trochę odwdzięczyłbym się za to, co pan dla nas zrobił.

Kovař starał się wyglądać na zakłopotanego, jednak w duchu zacierał ręce. Z polecenia tego człowieka łatwiej będzie wejść do społeczności miasta. Szukając Maxa, powinien jak najmniej rzucać się w oczy, a Korbmann oferował idealną przykrywkę. Miał nadzieję, że podstaw kowalstwa, wyuczonych podczas służby w wojsku, ze szczętem nie zapomni.

– Co pan o tym myśli? – zapytał gospodarz z uśmiechem. – Chętnie to dla pana zrobię. Kovař przytaknął.

– Bardzo by mi pan pomógł, herr Korbmann.

Handlowiec wyszczerzył zęby z zadowoleniem.

– Znakomicie! – zawołał. Szybko spojrzał w stronę zasłony, za którą jego żona pilnowała Irenn, i ściszył głos: – Musimy to oblać!

Kovař przełknął ślinę i powoli podał Korbmannowi kubek.

Gdy otrzymał znowu pełny, zapytał, zwracając uwagę, żeby znów się nie przejęzyczyć:

– A pana co ciągnie do Praagu?

Handlowiec pochylił się ku niemu, Kovař stuknął i obaj wypili.

– Latem otworzyłem tam filię. Bardzo dobrze prosperuje od samego początku, więc zdecydowałem się na jakiś czas przenieść do Praagu, czy też Prahy, jak pan woli. – Uśmiechnął się przyjacielsko. – No i wróciłem po rodzinę.

JFK przez ten czas ugasił ogień w gardle i zastanawiał się, czy wkroczyć na cienki lód. W końcu doszedł do wniosku, że tak.

– Czy nie zna pan niejakiego Maxmilian Scharfa? Też handluje artefaktami w Praagu...

Korbmann przytaknął po krótkiej chwili.

– Oczywiście, że go znam! Dobry handlowiec powinien mieć rozeznanie co do konkurencji. A herr Scharf to nie byle kto w naszym zawodzie.

Kovař stłumił ironiczny grymas. Któż mógł być w przyszłości lepszym znawcą historii niż człowiek pochodzący z przeszłości? Różnice między oboma światami równoległymi nie były aż tak duże, żeby mogły sprawiać kłopoty agentowi Maxowi Vostfakowi, przezywanemu przez kolegów Szalony Max.

– Od dawna go pan zna? – zapytał Korbmann.

– To przyjaciel z młodych lat.

Kovař zdecydował, że raczej nie będzie wypytywał o szczegóły. Zauważył, jaką minę zrobił Korbmann, słysząc nazwisko Maxa. Nie drążył tematu, pozostawiając inicjatywę rozmówcy.

– Herr Scharf to interesujący człowiek – powiedział Korbmann. – Nie tylko jest świetnym znawcą artefaktów, lecz również dobrym handlowcem. Nieustępliwy, pewny siebie i... twardy – westchnął z uśmiechem.

– Zawsze był uparciuchem – zgodził się JFK, chociaż praktycznie nie znał Maxa.

Korbmann przytaknął.

– Ma pan rację. Zaproponowałem mu, żebyśmy zostali wspólnikami, ale się nie zgodził. A w tym czasie miał tylko mały kramik, z którego z trudem mógł wyżyć.

Kovař nie dziwił się decyzji Maxa. Gdyby nieustannie miał obok siebie Korbmanna lub jego pracownika, mogłoby to przeszkadzać mu w wykonywaniu zadań.

– Ale po prawdzie, te kilka przedmiotów, które miał na sprzedaż, było rzeczywiście luksusowych – przyznał Korbmann.

Jeszcze by nie, pomyślał Kovař, bezwiednie pocierając bolące ramię. Informatycy agencji dobrze wiedzieli, w co wyposażyć swojego człowieka.

– Bardzo mi przykro, że Króliczek pana zranił. – Korbmann zauważył jego gest.

– To nic, tylko powierzchowne drapnięcie. – John pokręcił głową. – Obawiam się jednak, że innym razem może się to skończyć gorzej. Powinien się pan pozbyć tego psa.

Zmęczenie w oczach gospodarza stało się wyraźniejsze.

– Nie stać mnie na innego – powiedział. – Na przekór temu, co się wydaje, handel artefaktami nie jest żyłą złota. Niewielu jest ludzi, którzy mogą sobie na nie pozwolić, a dotrzeć do nich bez znajomości jest trudno.

Kovař przytaknął w milczeniu, wobec takich problemów na nic się zda próżne gadanie.

– Króliczek podczas burzy zawsze szalał o wiele bardziej niż pozostałe psy. – Korbmann wrócił do tematu swego zwierzęcia. – Ale jeszcze nigdy nie zaatakował człowieka. I to członka naszej rodziny.

– Czasem tak bywa, że pies wariuje bez określonego powodu – rzekł Kovař.

Korbmann przytaknął zamyślony. W końcu wypił resztę trunku, wstał i przez chwilę słuchał huczenia burzy śnieżnej.

– Wygląda na to, że za kilka godzin będziemy mogli wyruszyć. Położę się, jestem zmęczony po całym dniu na nogach. Pan też powinien odpocząć. Rany wymagają spokoju.

Kovař, który miał za sobą podróż z przeszłości do przyszłości, a na dodatek walkę ze zdziczałym psim potworem, przytaknął.

Korbmann podszedł do przeciwległej ściany, podniósł okrągłą klapę w podłodze i wybrał łopatką nieco śniegu. Potem ku zdumieniu Kovařa bez skrępowania wysikał się do otworu. Wsypał śnieg z powrotem i zamknął klapę.

– Gdyby pan czegoś potrzebował, to proszę. – Zatoczył krąg ramieniem i na chwilę wszedł za zasłonę. Wrócił z futrem, które podał Johnowi.

– Dzięki za gościnę, herr Korbmann.

Handlowiec przyjacielsko poklepał agenta po zdrowym ramieniu.

– Niech pan nie dziękuje, to ja jestem pańskim dłużnikiem. A jeśli nie życzy mi pan niespokojnego snu, to proszę pojechać z nami do Praagu.

– Takiego zaproszenia nie da się odrzucić – zaśmiał się Kovař, zadowolony, że nie będzie musiał tłuc się miejscową komunikacją zbiorową.

– To mi się podoba – pochwalił Korbmann i wyszedł.

Kovař również skorzystał z klapy, pogasił świece i ułożył się w kącie, mając w pobliżu głowy nadał promieniujący ciepłem piecyk.

Zagrzebany w futrze, z workiem pod głową, patrzył w ciemność i słuchał huczenia burzy. Był zmęczony, jednak sen nie nadchodził. Nic dziwnego, człowiek nieczęsto przeskakuje do przyszłości równoległej.

Po czterech dotychczas przeprowadzonych misjach mało co mogło go zaskoczyć, lecz surowa epoka lodowcowa na tej Ziemi robiła wrażenie. W ultratrudnych warunkach ludzkość zdołała nie tylko przeżyć, ale zapewnić sobie samowystarczalną egzystencję. Kovař poczuł taką dumę z tego, że jest człowiekiem, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył. Motto agencji EF, „Na swój świat musimy sobie zasłużyć” nabierało tutaj większego znaczenia niż gdzie indziej.

Przez rozbudzoną świadomość Kovařa przewijały się wspomnienia z kilku ostatnich dni, które zaczęły się około stu czterdziestu lat przed jego odwołanym urlopem. A skończyły się walką z ogromnym psem, za którego mordercze szaleństwo odpowiadała nie burza, lecz on sam – John Francis Kovař.

CZTERDZIEŚCI TYSIĘCY DNI PÓŹNIEJ



Kovař z uczuciem ulgi wyłączył komputer i przeciągnął się. Męczącą papierkową robotę miał już za sobą, a przed sobą urlop udzielony mu przez szefową Ljubę Bytewską. Po nielekkiej trzeciej misji i późniejszym „dokazywaniu” przeciw armii terakotowych żołnierzy miał do niego prawo. Czasem świat sprawiał wrażenie wręcz bajkowego miejsca do życia.

Wstał, narzucił na siebie krótką skórzaną kurtkę i wyciągnął spod stołu sportową torbę. Był zadowolony, że wszystkie rzeczy zabrał ze sobą już rano i teraz nie musi wracać do mieszkania. Za godzinę odlatywał z Genewy jego samolot do Dżakarty, skąd miał połączenie do Semarangu. Z góry się cieszył na szklaneczkę miejscowej wódki w barze Dinga, w towarzystwie przyjaciół, jakich pozyskał w Indonezji podczas służby wojskowej. Powspominają wspólnie dawne czasy.

Przypomnił sobie Lindę. Obraz jej twarzy w pamięci szybko jednak zmienił się w inny, o dużych, wyrazistych oczach.

Potrząsnął głową i wygnał Andreeę z myśli. Wspólny urlop nie był w agencji możliwy, a co więcej, panią de Villefort oczekiwało niełatwe zadanie gdzieś w czasoprzestrzeni.

Wszedł do centrum wyposażenia, żałując, że nie może się zamienić miejscami z Pierrem Yangiem.

Muskularny Azjata w czarnym bojowym kombinezonie siedział z nogami na stole. Trzymał przed sobą wyświechtany pocketbook i sapał z niezadowoleniem.

Przodkowie Yanga pochodzili z Chin, na co wskazywało jego nazwisko, ale agent urodził się we Francji. Gdy po ojcu odziedziczył rodzinną restaurację, zdecydował, że nie będzie płacił haraczu mafii algierskiej, a obu poborców ciężko pobił. Algierczycy wymordowali mu za to całą rodzinę. Yang w rewanżu pozabijał Algierczyków. Sam jeden. Potem zgłosił się na policję.

Przedstawiciele agencji odwiedzili go w więzieniu i zaproponowali pracę, jak wielu innym przed nim. I Pierre Yang ją przyjął. Miało to miejsce cztery lata wcześniej, od tego czasu zmienił się w doskonałego agenta, a kilka miesięcy temu zaprzyjaźnił się z Kovařem. Był jednym z niewielu, którzy podczas misji „Palmowy Świat” zachowali postawę neutralną.

Łypnął na wchodzącego Kovařa i wrócił do lektury.

– Czołem, szczęściarzu – huknął John na powitanie.

Pierre fuknął gniewnie i rzucił książkę na stół.

JFK zatrzymał ją na blacie, zanim zdążyła spaść na podłogę.

– „Jabłka z Beltamoru” – przeczytał tytuł na kolorowej okładce. – Czytasz taką chałę?

Yang zdjął nogi ze stołu i burknął:

– Iringa Stonea mi nie proponuj, intelektualisto!

– Nie wyglądałeś na specjalnie ubawionego tą lekturą – rzekł uszczypliwie Kovař.

Yang z rezygnacją machnął ręką.

– Zagmatwana historia, człowieku. Twój pobratymcy maczają w tym pałce.

Widząc, że Kovař nie rozumie, dodał:

– Ta chała, jak bluźnierczo powiadasz, na początku była produktem francuskim. Przed laty zaczęła wychodzić również u was i stała się wielkim hitem. W końcu zaczęli to pisać także Czesi i pisali na tyle dobrze, że ich książki zaczęto wydawać we Francji.

– Jak ktoś coś umie, to już umie. Złote czeskie rączki – powiedział Kovař z uśmiechem.

– Przyhamuj, człowieku – usadził go Yang. – Też tak myślałem do czasu, kiedy przetłumaczyli to tutaj.

Wskazał leżącą na stole książeczkę.

– Ten oto... – Spojrzał na okładkę: – Prohazska... myśli, że może nabijać się z nas, prawowiernych fanów. Mam wrażenie, że wkrótce spotkam tego chłopca.

Kovař uśmiechał się ubawiony, rozglądając po rozległym pomieszczeniu pełnym szaf, regałów, stołów i krzeseł.

– Myślałem, że szykujesz się do akcji – powiedział do Pierrea, który nieprzyjaźnie spoglądał na kolorową oprawę książki.

W agencji krążyła legenda, że Yang pozabijał Algierczyków chińskimi pałeczkami do jedzenia. Patrząc teraz na niego, John zaczynał w to wierzyć. I był zadowolony, że nie nazywa się Procházka.

– Czekam na Andreę. – Pierre opuścił krainę swych złowrogich wizji. – Znasz kobiety, czy idą do teatru, czy do bitwy pod Slavkowem, szykują się sto lat.

– Ależ chłopaki – powiedziała stojąca w drzwiach komesa. – Chyba mnie nie obgadujecie?

Yang wyszczerzył zęby, a Kovař zaklął pod nosem. Twierdzić, że agentce do twarzy w kombinezonie opinającym jej doskonałą figurę, byłoby podobne do uznania Mony Lizy za fajny obrazek. Wyglądała w nim zarówno krucho, jak i niebezpiecznie, co było śmiertelną kombinacją.

– Jakiś świat techniczny? – Kovař skomentował wyposażenie i uzbrojenie pary agentów, gdy udało mu się odzyskać równowagę ducha.

Pani de Villefort podeszła do niego tak blisko, że poczuł jej perfumy, i przytaknęła.

– Dokładnie tak. Ponadnarodowa korporacja, neo–yakuza, nanotechnologia, a do tego chytrus, zabawiający się hiperpolem. W przeciwieństwie do ciebie, nie czeka nas żaden urlop. – Machnęła ręką w stronę sportowej torby obok nóg Kovařa.

JFK uświadomił sobie, że mitręży za dużo czasu.

– Przede wszystkim uważajcie na siebie, dzieci. – Zarzucił torbę na ramię.

– Jasne, tatusiu – huknął Yang, mrugając do niego przyjacielsko.

Andrea podała mu rękę.

– Wypocznij, John – powiedziała, gdy ujął jej smukłą dłoń. – I żadnych awantur – dodała z szelmowskim uśmiechem. – Ruszasz do niezwykle niebezpiecznego środowiska.

Oczywiście miała na myśli łatwy seks, od lat będący w południowo–wschodniej Azji największą atrakcją turystyczną. Kovař nie miał ochoty tego komentować.

Patrzyli na siebie ułamek sekundy dłużej niż było to w zwyczaju.

– Kiedy się tu znowu spotkamy, skoczmy na jednego – rzucił, spuszczać wzrok.

Odwrócił się do odejścia, ale zanim doszedł do drzwi, odezwał się z interkomu głos asystentki Ljuby Bytewskiej:

– Agent John Francis Kovař zamelduje się natychmiast w biurze kierownika sekcji.

Powtarzam...

Kovař znieruchomiał, słuchając komunikatu aż do końca, jakby miał nadzieję, że się przesłyszał. Czternaście dni na białych plażach Morza Jawajskiego smutno machało do niego z pokładu odlatującego samolotu. Opuścił torbę na podłogę i szpetnie zaklął.

Zrezygnowany odwrócił się ku obojgu agentom.

Andrea wzruszyła ramionami, a Yang wykrzywił się w grymasie współczucia.

– Możesz zapomnieć o Indonezji, człowieku – powiedział, podnosząc swoją książeczkę.

– Czekaj na ciebie Beltamor.

– Albo coś o wiele gorszego... – dodała Andrea, gdy za Kovařem zamknęły się drzwi.



Chociaż wszystko się w nim gotowało, postanowił zachowywać się jak zawodowiec. Więc kiedy wszedł do biura Ljuby Bytewskiej, przywitał się niczym dobrze wychowany chłopiec i nawet mu brew nie drgnęła. Po zapraszającym geście swej przełożonej usiadł na krześle bez słowa.

Czekała go ciężka próba, jako że oprócz Bytewskiej w gabinecie oczekiwał na niego

Andreas Wolfgang. Od wydarzeń w Palmowym Świecie upłynęło już wprawdzie dużo wody w rzekach, ale biorąc pod uwagę fakt, że nie widzieli się od tego czasu ani razu, ich wzajemna niechęć nie osłabła.

Siwowłosy agent opierał się o parapet sztucznego okna, za którym projektor wytwarzał holograficzny obraz deszczowego jesiennego wieczoru i zachmurzony przyglądał się Kovařowi.

– Czy jest pani pewna, koleżanko, że naprawdę nie ma pani nikogo innego? – zapytał, nawet nie spuszczając wzroku.

Bytewska przeszła do porządku nad tym naruszeniem zasad bon tonu i spokojnie, lecz chłodno powiedziała:

– Myślę, że już to omówiliśmy. John Kovař jest nie tylko idealnym człowiekiem do wykonania pańskiej misji, ale również jedynym agentem z odpowiednim doświadczeniem, jakiego mam do dyspozycji. Bierze go pan albo nie, tylko niech się pan szybko decyduje, może jeszcze zdąży na samolot.

Kovař nie był wierzący, ale teraz modlił się gorąco do patrona wszystkich Wolfgangów, żeby temu obmierzłemu sługusowi podszeptał odpowiedź, która jego, Johna Francisa Kovařa, usadowi w taksówce pędzącej na międzynarodowe lotnisko w Genewie.

Wolfgang zamruczał coś niezrozumiałego pod wypielegnowanym wąsikiem. Bytewska kiwnęła głową i zwróciła się do Kovařa.

– Chyba nie ma sensu zbyt wiele mówić, bo widzę, że wie pan, a przynajmniej domyśla się, o co chodzi. Ale muszę zadośćuczynić urzędniczemu protokołowi: oficjalnie odwołuję pana z urlopu.

Kovař chciał początkowo podjąć dyskusję na temat znaczenia pomruku Wolfganga, lecz w końcu tylko przytaknął zrezygnowany.

– Rozumiem i jestem do dyspozycji.

Twardy, szefowski wyraz twarzy Ljuby Bytewskiej zniknął pod uśmiechem ulgi. Być może obawiała się, że będzie musiała w obecności kolegi stawić czoła niesubordynacji Kovařa.

–Major Wolfgang oficjalnie poprosił nasz oddział o pomoc. Potrzebny mu agent do misji specjalnej, a ponieważ wszystkie inne wydziały są w maksymalnym stopniu obciążone zadaniami, zwrócił się do mnie. Gdybym dysponowała kimś odpowiednim w równym stopniu co pan, nie popsulałbym panu urlopu. Ale tak, został pan Czarnym Piotrusiem.

Bytewska nie zwróciła uwagi na prychnięcie Wolfganga, a Kovař mrugnął do niego łobuzersko.

– Panie majorze, proszę zapoznać agenta Kovařa z zadaniem – zażegnała grożący konflikt, spoglądając na obu z zachmurzonym wyrazem twarzy.

Wolfgang teatralnie westchnął i odszedł od parapetu. Iluzoryczny deszcz za jego plecami wystukiwał na nieistniejącym oknie reąkiem nad urlopem, który nie doszedł do skutku.

– Z grubsza pół roku temu – zaczął siwowłosy major – analitycy agencji zgłosili naruszenie modulowanego hiperpola. Starali się określić jego charakter, porównując z anomaliami zawartymi w bazie danych, jednak bez powodzenia.

Wolfgang zaczął przechadzać się po gabinecie niczym nauczyciel wyjaśniający uczniom szczególnie trudne zagadnienie i chociaż jego słowa skierowane były do Kovařa, ani razu na niego nie spojrzał.

– Jak bywa w podobnych przypadkach, wyniki badań trafiły na moje biurko – oznajmił z goryczą, rzucił okiem w kierunku Bytewskiej i podał jej minidysk, zapakowany w pudełku.

– Udało się nam określić współrzędne czasoprzestrzenne, w których występowały przedmiotowe defekty – dorzucił, podczas gdy Bytewska wsuwała dysk w szczelinę komputera i wystukiwała na klawiaturze stosowne polecenia.

Ozwało się ciche buczenie, światła w gabinecie przygasły i projektor holograficzny rozpoczął przegrywanie materiału. Przed Kovařem pojawił się wysoki na pół metra świecący sześcian. Widoczna przez niego szefowa przypominała ducha w źle dostrojonym telewizorze.

Początkowe drzenie światła ustąpiło i pojawił się obraz. Pod zachmurzonym, ołowianym niebem widać było niekończącą się przestrzeń lodu. Kovař pochylił się, żeby nie umknął mu żaden szczegół.

– To, co pan ogląda, to obraz z sondy, którą wysłaliśmy do zlokalizowanego miejsca – objaśnił Wolfgang. – Właśnie przelatuje nad kotliną staroczeską i kieruje się ku Pradze.

Kovař popatrzył na niego zdziwiony. Starszy agent ignorował go, obserwując obraz holograficzny.

– Jest w przybliżeniu rok dwa tysiące sto sześćdziesiąty, kiedy podobnie wygląda praktycznie cała Ziemia. Tylko śnieg, lód, mróz i...

– Co tam się stało? – przerwał mu Kovař.

Wolfgang rzucił mu wściekle spojrzenie i zasyczał:

– Pytania w stosownym czasie. Jeśli nie będzie mi pan przerywał, nadejdzie on odpowiednio wcześniej.

Patrzyli na siebie przez chwilę, aż JFK postanowił być tym mądrzejszym i odwrócił wzrok. Gestem ręki dał Wolfgangowi znak, aby mówił dalej, i ostentacyjnie wbił spojrzenie w hologram.

Siwowłose agent opanował się i, zgrzytnąwszy zębami, kontynuował:

– W tym świecie równoległym około roku dwa tysiące pięćdziesiątego doszło do wojny z użyciem broni jądrowej. Jakiegokolwiek były jej przyczyny, konflikt objął całą planetę i zniszczył osiemdziesiąt procent populacji, a opad radioaktywny spowodował globalną zmianę klimatu. Nastąpiła nowa epoka lodowcowa...

Na skraju hologramu Kovař dostrzegł ciemną, powiększającą się plamę. Szybko przekształciła się w futurystyczne miasto utworzone przez ogromne wieżowce. W miarę jak sonda zbliżała się do niego, uwidoczniały się coraz to nowe ponure szczegóły.

Ze zniszczonych domów pozostały jedynie żelazobetonowe szkielety. Przez otwory okienne wiatr przewiewał wirujące tumany śniegu. Przyglądając się uważniej, JFK stwierdził, że początkowo budowle musiały być znacznie wyższe, a ponad śnieżną powłokę wystawało tylko kilkadziesiąt górnych pięter wspaniałych niegdyś gigantów.

Przypomniawszy sobie plakat pewnego starego przeboju kinowego, przedstawiający sterczącą ze zwałów śniegu Statuę Wolności, zaś w tle zaśnieżone drapacze chmur. Pomyślał, że nawet ten nie najlepszy film nie był wystarczająco wizjonerski.

– Tyle zostało z Pragi – mruknął, przytłoczony obrazem cywilizacji w ruinie.

– Wyśmienita dedukcja, agencie. – Wolfgang nie odpuścił złośliwej uwagi. Pokazał palcem kilka kropek poruszających się u podnóża budynków. – A to co takiego? Czyżby mrówki?

Kovař był tak zafascynowany tym, co widział, że nie dosłyszał sarkazmu w głosie Wolfganga.



Pomiędzy ruinami drapaczy chmur naprawdę poruszali się ludzie. Nie można było rozróżnić zbyt wielu szczegółów, gdyż sonda utrzymywała odpowiednią wysokość, żeby nie zostać dostrzeżoną.

– Tutaj ma pan pozostałe dwadzieścia procent mieszkańców – niezbyt dowcipnie objaśnił Wolfgang. – To potomkowie tych, którzy ukryli się w schronach przeciwoatomowych.

Sonda wleciała do jednego z budynków i w miarę jak schodziła coraz niżej, kamery przekazywały ponury obraz wnętrza domu, w którym poza gołymi ścianami i zawalonymi schodami nic nie ocalało. Mechaniczny wysłannik z przeszłości równoległej zatrzymał się

na poziomie ziemi i znieruchomił za otworem okiennym.

Nie upłynęło nawet pół minuty, gdy obok sondy przeszło trzech ludzi. Kovař spodziewał się widoku prymitywnych troglodytów, ale z ulgą spostrzegł, że się mylił.

Mężczyźni w przeszywanych kozuchach, z twarzami zakrytymi kosmatymi szalami, w kapturach na głowach, przypominali raczej polarników. O tym, że jednak nimi nie są, świadczyła broń. Ponad ramieniem każdego sterczała rękojeść miecza, a jeden niósł strzelbę z rozszerzającą się lufą.

Nagle obraz zadrgał i zniknął, sześcian świecił dalej, lecz nic już się na nim nie pojawiło. Kovař przypuszczał, że sonda została zniszczona na skutek działania efektu Maurbyego. Poziom technologiczny tego świata nie był zbyt wysoki i nic, co go zdecydowanie przewyższało, nie mogło funkcjonować przez dłuższy czas.

– Około dwudziestu minut, taka jest żywotność naszej technologii w tej lodowej przyszłości. – Wolfgang potwierdził domysły Johna, a Bytewska wyłączyła projektor i zapaliła światła.

Kovař zamrugał oślepiony i, założywszy ręce za głowę, odchylił się do tyłu, patrząc w sufit.

Wolfgang uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Wyczerpały się panu dowcipy, agencie? Czy może się pan przestraszył?

Kovař odwrócił się do niego.

– Myślę, że to wstrząśnie każdym, kto ma choć odrobinę ludzkich uczuć, majorze. Ale pana to ewidentnie nie dotyczy.

Zanim Wolfgang zdążył zareagować, do rozmowy włączyła się Bytewska.

– Jeśli ta misja ma się zakończyć powodzeniem, powinno być mniej sprzeczek, a więcej starań o współpracę, panowie – skarciła obu.

Kovař złażał sam siebie, że dał się sprowokować.

– Wysłaliśmy tam agenta – kontynuował Wolfgang, wyraźnie w złym humorze. – Jego zadaniem było odnalezienie przyczyny anomalii i powrót celem złożenia meldunku, który pozwoliłby nam na podjęcie odpowiednich kroków stosownie do rangi niebezpieczeństwa. Po kilku miesiącach składania meldunków nagle zamilkł.

Major spojrzał na Kovařa, wrogość w jego wzroku mieszała się z troską o zaginionego agenta.

– Pańskie zadanie będzie proste. Wmiesz się pan w miejscowe społeczeństwo, odnajdzie pan agenta Vořtraka i powróci wraz z nim, żywym albo martwym. Nic ponadto. Nie będzie pan zatem badał przyczyn anomalii hiperprzestrzennej ani w inny sposób ingerował w wydarzenia mające miejsce w tym świecie równoległym. Tym razem

ratowanie świata nie jest przewidziane, agencie Kovař!

JFK przypomniał sobie człowieka, którego mniej więcej przed trzema miesiącami spotkał na korytarzu genewskiego ośrodka agencji. Prowadził wtedy poważną rozmowę z rabinem Lówym i niemal wpadł na mężczyznę ubranego jak Eskimos. Ubawiło go to wtedy, ale teraz uśmiech zamarł mu na ustach.

Wolfgang wykorzystał jego milczenie i jadowitym tonem dorzucił:

– Podczas tej misji nikt nie będzie chronił pańskiego tyłka, agencie. Ani specjaliści, ani koledzy, ani zaawansowana technologia, będzie pan działał incognito. Tylko pan, obcy w obcej ziemi. Bardzo jestem ciekawy, jak sobie pan poradzi.

Kovař już szykował się do ciętej odpowiedzi, ale Bytewska go uprzedziła.

– Jeżeli przeczytał pan uważnie dane Johna, zapewne zauważył pan, że przez kilka lat pracował jako prywatny detektyw – odpowiedziała Wolfgangowi, a potem zwróciła się do Kovařa: – Sądzę, że nie będzie dla pana problemem odkurzyć stare nawyki i wykorzystać doświadczenie, które pan wówczas zdobył. Czy może się myłę?

Kovař uśmiechnął się na wspomnienie trzech szalonych lat swojej pracy jako detektyw i pokręcił głową.

– Nie myli się pani.

Bytewska uśmiechnęła się do Wolfganga słodko, z niewielką tylko domieszką piołunu:

– Widzi pan. Wprost idealny człowiek do pańskiej misji.

Siwowłósy major zmarszczył się ze złością.

– Jakież pytania, agencie? – rzucił rozdrażniony.

JFK przybrał życzliwy wyraz twarzy i wygodnie rozparł się w fotelu.

– Miał pan rację, panie majorze, cierpliwość jest cnotą. Nie mam żadnych pytań, wszystkie podstawowe wiadomości już mi pan przekazał. Będę oczywiście potrzebował zapisów z misji Voštraka – oświadczył uprzejmie.

Zapędzony do defensywy Wolfgang walczył z wybuchem złości, ale w końcu tylko syknął:

– Wszystkie materiały przekażę pana przełożonej. Ma pan równą dobę na przygotowania. Godzinę zero ustalono na jutro, na osiemnastą.

Chciał jeszcze coś dodać, jednak pokręcił tylko głową, kiwnął w kierunku Bytewskiej i nie czekając na reakcję Kovařa, dostojnie wymaszerował z gabinetu.

– Rozkaz, panie majorze – mruknął JFK, gdy za Wolfgangiem zatrzasnęły się drzwi.

Bytewska zachmurzyła się z dezaprobatą.

– Niech pan nie robi sobie z niego wroga. Ma wpływy w agencji, a poza tym to nie jest

zły człowiek. Trochę raptus i zarozumialec, przyznaję, ale za to człowiek na właściwym miejscu.

JFK rozłożył ręce.

– Chyba mu jeszcze leży na wątrobie tamta sprawa, co? – Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Wolfgangiem.

Bytewska wystukała kilka poleceń na klawiaturze i spojrzała na agenta surowo.

– Nie tylko to, Johnie, nie tylko to...

Dodawszy jeszcze kilka energicznych uderzeń w klawisze, powiedziała:

– Niech pan idzie do profesora Wondera. Właśnie wysłałam mu polecenie, żeby niezwłocznie przygotował pana do misji.

Kovař wstał, skinął na pożegnanie i podszedł do drzwi.

– Johnie – zatrzymała go jeszcze Bytewska.

Odwrócił się.

Z łokciami opartymi o blat biurka, podpierając brodę rękami, przyglądała się uważnie Kovařowi, jakby chcąc przejrzeć wszystkie jego myśli.

– Niech pan będzie ostrożny, major Wolfgang będzie oczekiwał jakiegoś pańskiego błędu. Nawet najmniejszego.

– Jasne, pani major.

– Mam nadzieję, ponieważ straty są w agencji dotkliwie odczuwane, jak pan sam wie. Dopóki był pan nowicjuszem, mogłam trzymać nad panem parasol ochronny. To już minęło.

JFK przytaknął. Znał treść umowy, jaką zawarł z agencją, i wiedział, że w przypadku niepowodzenia może się liczyć z najgorszym. Banicją, wysłaniem na misję samobójczą, wymazaniem pamięci, a nawet śmiercią.

Już chciał odejść, lecz Bytewska jeszcze raz go zatrzymała.

– I niech pan uważa na siebie w tej zamrażarce. Nie chciałabym pana stracić.

Kovař uśmiechnął się i stłumił chęć zasalutowania. To nie była właściwa chwila na strojenie sobie żartów.

– Rozkaz, pani major – powiedział zamiast tego i wyszedł.

Ljuba Bytewska jeszcze przez chwilę patrzyła na zamknięte drzwi, słuchając uspokajającego szumu deszczu za plecami.



Agent John Francis Kovař pocił się jak mysz. Stał w przeszklonej klatce na dnie jaskini ubrany w futrzane spodnie, futrzane buty i futrzaną kurtę, obserwując ostatnie przygotowania do przeskoku czasoprzestrzennego. Bez przerwy drapał się po twarzy, na

której zaczynała wyrastać szczecina.

Na szczęście do otwarcia portalu pozostawało zaledwie kilkadziesiąt minut. Kovař oparł się o futrynę drzwi, przyglądając się aktywacji fantomów. Ogromne, czerwono-fioletowe kule przetaczały się pod sklepieniem jaskini, przenikały nawzajem, dzieliły i zanikały, wydzielając potężne błyski wyładowań uwolnionej energii.

Wprost przed nim ciągnęła się około trzystumetrowej długości droga rozbiegowa, pokryta sztucznym śniegiem. Na początku, kilka kroków od agenta, stały aerodynamicznie ukształtowane sanie, JFK uśmiechał się, słysząc przejęcie w głosie profesora, który mu je prezentował.

– Są w stanie osiągnąć szybkość stu kilometrów na godzinę w ciągu zaledwie dwudziestu sekund. – Siwowąsy uczoney nie krył dumy, gładząc sanie jak małe dziecko. – Szkoda, że po przeskoku nie zostanie z nich nic poza kilkoma kawałkami blachy – dorzucił z żalem w głosie, a potem smutno westchnął.

JFK sprawdził sterowanie saniami i powiedział:

– Wobec tego mam nadzieję, że dobrze trafimy. Nie chciałbym brnąć za karawaną na własnych nogach.

– Na moim zespole może pan polegać, panie agencie! – Profesor zmrużył oczy w udawanej złości i stuknął Johna palcem w pierś. – Dostarczę pana w środek karawany, dokładnie na początku burzy śniegowej, więc pańskiego pojawienia się nikt nie spostrzeże. Czy pomaszeruje pan na własnych nogach, czy pojedzie, będzie zależało tylko od pańskiej inwencji, ha, ha – zakończył wypowiedź charakterystycznym śmieszkiem.

Najlepszym sposobem, aby nie zwracając na siebie uwagi, przyłączyć się do miejscowej społeczności, było przybycie z którąś karawaną. Podróżowały między miastami kilka razy w roku. Oprócz prywatnych psich zaprzęgów, będących podstawą każdej karawany, w jej skład wchodził tak zwany transport masowy, z którego korzystali mniej majątni obywatele.

Właśnie z takiego rodzaju autobusu JFK zamierzał skorzystać. Ze sprawozdań zaginionego agenta wiedział, że miejscowi nie mają zwyczaju pozostawiać współplemieńców na lodzie i postanowił tak samo jak on opowiedzieć bajeczkę o rozbitych saniach i ucieczce psów. Miał nadzieję, że jego opowieść, podparta imitacją miejscowych złotych monet, wypadnie wiarygodnie.

– Czas do startu: minus pięć minut – odezwał się za nim głos Nikity. – Agencie Kovař, proszę się przygotować.

JFK odwrócił się w kierunku pomieszczenia, w którym profesor i jego operatorzy

pracowali nad otwarciem portalu. Von Wonder przechodził od jednego monitora do drugiego, wydawał polecenia i kontrolował parametry plazmy czasowej. Nikita tymczasem czuwała nad ruchami fantomu.

– Czas: minus cztery minuty, trzydzieści sekund – oznajmiła, patrząc na Johna chłodno. Ciężko przeżywała śmierć Bertrama i Kovař stracił już nadzieję, że ich stosunki mogłyby się polepszyć.

Podniósł worek podróżny, wykonany tak jak jego ubranie z futra ogromnych zwierząt żyjących w tym lodowym świecie. Vořtrak przesłał tunelem komunikacyjnym próbkę futra mastodonta, a uczonym agencji udało się ją sklonować.

JFK jeszcze raz sprawdził, czy krótki miecz przywiązany do worka mocno tkwi w pochwie, zawiązał szal i nasunął kaptur na głowę.

Von Wonder oderwał wzrok od monitora i pomachał do niego.

– Dużo szczęścia, John – powiedział.

Kovař zamiast odpowiedzi uniósł kciuk i ruszył ku saniom.

– Czas: minus trzy minuty, trzydzieści sekund – pożegnał go głos Nikity.

Poruszenia fantomu stały się szybsze, czerwony kolor pociemniał, przechodząc w fioletowy. Na końcu ośnieżonej drogi z trzaskiem wyładowań elektrycznych załamywała się czasoprzestrzeń. Portal się otwierał.

Kovař umocował do sań worek wraz z mieczem i wszedł na tylną platformę. Zapiął pasy i położył rękę na starterze.

– Czas: minus dwie minuty – odezwała się Nikita.

JFK rozejrzał się po jaskini, pod sklepieniem której fantomy wykonywały taniec świętego Wita. Pracownicy agencji zakończyli robotę i z zaciekawieniem przyglądali się spektaklowi, jaki odgrywał się przed ich oczami.

Na jednej z galerii Kovař dostrzegł dwie znane sobie postaci. Niższa, tęższa, należała do jego szefowej, Ljuby Bytewskiej, a szczuplejsza, wyprostowana jak struna, do Andreeasa Wolfganga.

Kovař pomachał do nich, lecz odpowiedzi doczekał się jedynie od Bytewskiej, która uniosła rękę w geście pozdrowienia. Wolfgang trzymał obie dłonie na balustradzie, jakby były do niej przyklepione, i obojętnie spoglądał na dół.

– Czas: minus sześćdziesiąt sekund – podała Nikita i Kovař włączył starter.

Wiedział, że do końca drogi rozbiegowej dotrze za kilkadziesiąt sekund. Jeśli profesorowi nie uda się otworzyć bramy w stosownym momencie, zostanie po nim tylko mokra plama na kamiennej ścianie.

– Czas: minus trzydzieści sekund.

Dodał gazu, sanie drgnęły i ruszyły.

Olbrzymie kule przybrały fioletową barwę, a wyładowania rozpostarły się nad śnieżną drogą niczym błyskająca pajęczyna.

JFK pociągnął dźwignię przyspieszenia niemal do maksimum i mocno uchwycił się sań. Maszyna zawyla i wystrzeliła do przodu jak koń wyścigowy, który wie, że teraz ma przed sobą tylko tor z metą na końcu.

Przed Kovařem rozpętało się fioletowe piekło, słyszał wycie, huczenie, jedno wyładowanie następowało po drugim. Takich efektów dźwiękowych nie powstydziliby się sam Roland Emmerich ^[2].

Sanie przebyły już połowę drogi, a przed nimi powoli, jakby niechętnie, otwierał się portal czasoprzestrzenny. Szybko zapełnił całe pole widzenia Kovařa.

Przenikając przez bramę, JFK znów doznał uczucia przebijania się przez lepka pajęczynę. Potem jedno piekło zamieniło się w drugie.

Mimo kilku warstw odzieży poczuł przenikliwe zimno, a w oczy sypnęło mu wirującym śniegiem. Sanie podskoczyły, opadając na stały grunt, i Kovař musiał się mocno trzymać, żeby z nich nie spaść.

Daleko nie ujechał. Z zadymki wyłonił się ciemny kontur dużego przedmiotu, więc JFK szarpnął sterem, żeby go ominąć. Gwałtowny ruch przy zbyt dużej prędkości wyrzucił go z pojazdu. Umiejętnie przetoczył się i bezsilnie obserwował, jak jego środek lokomocji przewraca się i zatrzymuje.

Przeszkoda, którą starał się ominąć, nagle poruszyła się i wydała głuchy ryk.

Kovař podniósł się szybko i starł śnieg z twarzy.

Poprzez zamieć dostrzegł po swojej prawej ręce dziwaczny pojazd. Był podobny do przyczepy, jakiej w jego świecie używali cyrkowcy i robotnicy budowlani, tylko osadzonej na dwóch szerokich płozach. Niewyraźnie widoczne w szarówce podobne kształty pozwalały przypuszczać, że nie jest jedyną, jaka się tu znajduje.

JFK odwrócił się akurat w momencie, gdy z zadymki wyłoniła się przed nim ogromna bestia. Mogła mieć dobrze ponad półtora metra wysokości. Pysk z wyszczerzonymi zębami trzymała nisko, oczy jarzyły się wściekłością, wielkie łapy zakończone były długimi pazurami. Kovař miał przed sobą jednego z psów, które zaprzęgano do przyczep mieszkalnych osadzonych na płozach. Zwierz dostrzegł Johna i z warkotem rzucił się w jego stronę. Agent uskoczył, a zdiczały pies przemknął obok niczym pociąg towarowy.

W tym momencie otworzyły się drzwi w przedniej części przyczepy, na śnieg zeskoczyła około dziesięcioletnia dziewczynka i ruszyła ku Kovařowi. Spoglądała na niego,

zdezorientowana, podczas gdy pies znowu zawrócił do ataku. Dziewuszka, widząc rozwścieczone zwierzę, zamarła w pół kroku, zdrętwiała ze strachu.

JFK ryknął na całe gardło, aby zwrócić uwagę bestii na siebie, i sięgnął po nóż. Przez grubą skórę rękawicy nie zdołał namacać broni, zdążył tylko rozpiąć pasek przytrzymujący rękojeść w pochwie. Rozległy się głosy dorosłych ludzi, ale na rozglądanie się nie było już czasu. Pies skoczył, na szczęście wybierając za cel agenta.

Kovař ześliznął się na zaśnieżoną ziemię. Nawet poprzez wycie szalejącej nawałnicy usłyszał, jak kły psa, wielkiego niczym dobrze zbudowany grizzly, kłapnęły, nie dosięgając celu.

ŁOWCY MAMUTÓW



Karawana pędziła przez lodowe pustkowia niczym w dzikiej gonitwie zobrazowanej przez chorobliwą wyobraźnię Hieronima Boscha. W odróżnieniu od widmowych łowców, dziwaczne psie zaprzęgi gnały do konkretnego celu. Gdzieś przed nimi, za zwałami śniegu leżał Praag – miasto miast.

Kovař stawiał czoła mrozowi, siedząc na koźle obok Korbmanna, chociaż mógł jechać w przyczepie. Żałował, że poziom technologiczny tego świata nie pozwala na użycie systemu wewnętrznego ogrzewania odzieży, co dałoby mu większą odporność na przemarznięcie. Futro mastodonta chroniło wprawdzie przed najgorszym zimnem, ale dla człowieka pochodzącego z ciepłego dwudziestego pierwszego wieku okazało się zabezpieczeniem niedostatecznym.

Znosił podmuchy lodowatego powietrza tylko dzięki adrenalinie wywołanej dziką jazdą. Mocno trzymał się uchwytów wypolerowanych przez lata używania, zakrywając dolną część twarzy szalem. Przez pożyczone od Korbmanna okulary z przydymionymi szklami przyglądał się temu surowemu światu.

Po burzy nie było już ani śladu, niebo się rozjaśniło, tworząc swym błękitem jaskrawy kontrast z białym, lśniącym śniegiem. Słysząc było odgłos sunących płóz, trzaskanie z batów i poszczekiwanie psów, ciągnących dziwnie ukształtowane sanie.

Potężne zwierzęta zaprzęgano do pojedynczych sań po cztery, a do sań transportu zbiorowego po osiem. Kovař podziwiał siłę i wytrzymałość tych bestii. Tempo posuwania się karawany nie spadało już od pięciu godzin, od czasu wyruszenia w drogę. Być może psy wyczuwały po zachowaniu ludzi, że cel podróży jest blisko. Wprost przed sobą Kovař miał kudłaty grzbiet szalonego Króliczka. Bestia po zaaplikowaniu środka usypiającego wydawała się zupełnie odmieniona. Bez oporu, z lekko wywalonym językiem i nieco głupawym wyrazem pyska, pozwoliła założyć sobie uprzęż i od tego czasu bez żadnych incydentów biegła wraz z pozostałymi psami niczym część dobrze naoliwionego mechanizmu.

Szturchnięcie w ramię wyrwało Kovařa z zadumy. Korbmann wskazywał batem przed siebie i gdy agent przyjrzał się uważnie, mimo ciemnych szkieł okularów, dostrzegł szary zarys budowli. Zadrżał na całym ciele, lecz tym razem to nie mróz był tego powodem.



Do miasta dotarli o zmroku.

Przybity JFK przyglądał się ruinom drapaczy chmur, pomiędzy którymi przejeżdżali. Teraz odczuwał o wiele silniej przygnębienie i smutek niż oglądając obraz z kamery sondy. Praag przypominał ogromne cmentarzysko, na którym krzyże zostały zastąpione przez czarne otwory wywalonych okien, a porastający nagrobki mech przez rdzę przeżerającą stalowe szkielety.

Przed masywną, okutą żelazem, drewnianą bramą, która przegradzała całą szerokość ulicy, karawana poddana została wstępnej kontroli.

Uzbrojeni w miecze mężczyźni w niebieskich, jednolitych kombinezonach, mających imitować uniformy, przeglądali zaprzęgi, kontrolowali bagaże i inkasowali drobne monety. Akcję zabezpieczali dwaj strzelcy stojący przy bramie, uzbrojeni w strzelby podobne do tej, którą Kovař widział na hologramie.

Przegląd odbył się bez komplikacji, pozostało tylko zapłacić urzędnikom podatek od towarów i myto za wstęp do miasta. Rudawy człowieczek o twarzy w kształcie melona badawczo przyglądał się Kovařowi przez okulary z jednym pękniętym szkłem, ale doskonała kopia złotej monety wykonana w laboratorium agencji szybko rozwiała jego wątpliwości. A gdy rozpoznał Korbmanną, który zaręczył za swego towarzysza podróży, pozwolił sobie nawet na uśmiech, a potem ich przepuścił. Handlowiec trzasnął z bata i zaprzęg przejechał przez bramę. Jeszcze przed chwilą miasto przypominało Kovařowi cmentarz, teraz jednak musiał swój osąd poprawić. Otóż kilka tysięcy ludzi postanowiło urządzić pomiędzy nagrobkami niezłą imprezę.

Najpierw dały się słyszeć liczne głosy i walenie w bęben, a w miarę jak się zbliżali do wylotu ulicy, gęstniejące ciemności rozjaśniał migotliwy blask płomieni. W końcu wjechali na rozległy plac, wypełniony tłumem podskakujących, śmiejących się i pokrzykujących mieszkańców.

Na udeptanej pokrywie śnieżnej postawiono stoły i długie ławy, obok których zgromadzono blaszane beczułki, to tu, to tam stały budki z jedzeniem, którego zapach mieszał się z ostrą wonią wódki, co razem z wieloma palącymi się ogniskami i lampami łożowymi łagodziło uczucie zimna.

Pośród tego wszystkiego odbywała się prawdziwa fiesta, ludzie tańczyli, rozmawiali lub po prostu popijali. Wszyscy byli ubrani w futra różnych fasonów i kolorów, uzupełnione dziwnymi ozdobami: połamanymi okularami przeciwsłonecznymi, naszyjnikami z zębów drapieźników, zegarkami niechodzącymi od dawna, bransoletami z drewna i metalu, czy

wreszcie parasolami, z których pozostały tylko gołe druty. Brodaci mężczyźni, z okazji uroczystości uzbrojeni tylko w noże, byli w większości mocno zbudowani, a kobiety krzepkie, jakby dorastały często poklepywane w odpowiednie miejsca. JFK uśmiechnął się na myśl o tym, jak doskonale pasowałyby do nich jego szefowa.

Wyenneńska karawana wjeżdżająca na plac została burzliwie powitana, a woźnice ochoczo wychylali oferowane im kubki szczerze napełnione miejscowym trunkiem. Po dwóch wypitych porcjach radość z przybycia karawany zaczęła się Kovařowi wydawać czymś na kształt panoptikum. Cienie krzepkich ludzi migające na ścianach okolicznych domów zlały się w jeden wielogłowy twór, który zdawał się gwałtownymi ruchami uwalniać z żelazobetonowego więzienia, żeby wmieszać się w tłum.

Z alkoholowego upojenia wyrwało Kovařa czyjeś dotknięcie. Pomiędzy nim a Korbmannem pojawiła się żona handlowca.

Umówiła się z mężem, że odprowadzi zaprzęg do ich kramiku, zamknie psy i ułoży córeczkę do snu. Przykazała również, żeby do czasu jej powrotu zbyt dużo nie wypić, pocałowała go, a kiedy obaj mężczyźni zeskoczyli z kozła, trzasnęła z bata i poprowadziła sanie poprzez ciżbę ku jednej z uliczek wychodzących na plac.

– O cholera! – zawołał Kovař, patrząc na odjeżdżającą przyczepę. – Zapomniałem swoich rzeczy.

Korbmann poklepał go po ramieniu.

– Spokojnie, herr Nowotny, nasz kram jest niedaleko. Zawsze może pan po nie skoczyć. A czy ma pan gdzie mieszkać? Pewnie u pana Scharfa...?

JFK zaczął się rozglądać, jakby szukając swego znajomego.

– Jeśli go w tym rozgardiaszu znajdę, to faktycznie u niego – odparł. – A jeśli nie, wynajmę sobie jakieś lokum.

Korbmann wychylił kubek podany przez jakiegoś rozczochranego młodzieńca i pokręcił głową.

– Dopóki go pan nie znajdzie, prześpi pan tę noc u mnie. I jak zwykle, nie chcę słyszeć żadnych wymówek.

Kovař bezradnie rozłożył ręce.

– Będę panu sporo dłużny, herr Korbmann.

Handlowiec zaśmiał się, wskazując na rozczochrańca.

– To mój miejscowy zastępca, Helmut Linde. A to herr Nowotny, kowal – przedstawił ich sobie.

W trójkę wmieszali się w tłum. Obaj mężczyźni rozmawiali o sprawach związanych z interesami, a Kovař milczał i rozglądał się.

Dotarli do zaimprovizowanego podium stojącego u podnóża ściany jednego z budynków. Musieli przepchać się przez gęstwą ludzi, aby uzyskać dobry widok. Przedstawienie właśnie trwało, aktorzy w prymitywnych maskach odgrywali pantomimę, której sens Kovař stopniowo sobie uświadamiał.

Jeden z aktorów, odziany w barwne futro, z przyczepionymi do rąk pazurami i czaszką jakiegoś drapieżnika na głowie, wykonywał dziki taniec naprzeciw trzem innym, ubranym tak jak większość widzów. Chociaż mieli przewagę liczebną, ich ruchy i miny symbolizowały strach i panikę.

W momencie gdy jeden po drugim padali na nieheblowane deski symbolizujące ziemię, futrzana zasłona zakrywająca wejście do budynku odsunęła się i na podium weszła kobieta w długim białym płaszczu, z twarzą ukrytą za prostą maską. Niosła miecz trzymany w prawej ręce i podwójny krzyż w lewej. Drapieżnik dostrzegł ją, przykurczył się, okazując z początku lęk, potem nienawiść, aż w końcu rzucił się na kobietę. Ta uniosła miecz i napastnik się zawahał. Znow się na nią rzucił, a ona uniosła krzyż.

W tym momencie Kovař przypomniał sobie jeden z meldunków Vořtraka, w którym agent donosił o znikomym procencie ludzi, którzy przeżyli atomową apokalipsę poza schronami. Ich metabolizm zmutował w wyniku promieniowania, przy czym transformacja kodu genetycznego nie tylko ochroniła ich przed śmiertocnym klimatem, ale zmieniła fizycznie i obdarzyła wieloma niespotykanymi cechami psychicznymi. Powstał nadczłowiek, który wkrótce napotkał pierwszych ludzi opuszczających podziemne schrony.

Jeszcze zanim na Ziemi uformowały się zarodki nowego społeczeństwa, doszło do wojny, w wyniku której mutanci, mimo swych zdolności, zostali prawie w całości wyniszczeni. Powstał wtedy wyspecjalizowany klan inkwizytorów, mający za zadanie wyszukiwać i likwidować tych, którzy starali się wmieszać między zwyczajnych ludzi lub uciekli na pustkowia.

Doszło do czystki rasowej, która obecnie dobiegała już końca. Inkwizytorzy stopniowo tracili swoją elitarną pozycję, jako że przypadki wykrycia mutantów na przestrzeni ostatniego roku można było policzyć na palcach jednej ręki. Gdy niebezpieczeństwo zaczęło mijać, ludzie powoli zapominali o czasach, w których miało istotny wpływ na ich egzystencję.

Kovař rozejrzał się wokół siebie i stwierdził, że spektakl obserwuje niewielu widzów, a i to niezbyt uważnie. Mieszkańcy Praagu korzystali z rzadkiej chwili, w której mogli zapomnieć o ciągłej walce o przeżycie: pokrzykiwali, dyskutowali i wznosili toasty.

– Nawet się nie przywitasz ze starym przyjacielem, kupczyku! – huknął ktoś za nimi.

JFK odwrócił się i spostrzegł potężnego brodacza, przed którym tłum rozstępował się jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

– Jesteś zbyt drobnej postury, abym cię dostrzegł, mistrzu Kowalski – odparł Korbmann z uśmiechem i gdy mężczyzna zbliżył się do niego, uściśnął mu wielką łapę.

Olbrzym wyszczerzył zęby i potrząsnął prawicą handlowca.

– To raczej pijaństwo zmąciło ci wzrok – zahuczał zadowolony i dodał: – Cieszę się, że cię widzę, Adamie.

Korbmann uwolnił rękę z miażdżącego uścisku i poprosił Lindego, żeby nalał cztery kubki.

– Ja też – powiedział, a Kovařowi wydali się w tym momencie tak poważni, jakby ich spotkanie miało oznaczać coś jeszcze, coś o wiele istotniejszego niż prosta przyjaźń dwóch mężczyzn.

Kubki z napitkiem wprowadziły wszystkich w dobry nastrój, ale zanim się stuknęli, Korbmann położył Kovařowi rękę na ramieniu.

– Dziś mam szczególny powód do zadowolenia, Davidzie. A stoi on tutaj koło mnie. Hans Nowotny, członek cechu kowalskiego, twój wyenneński kolega po fachu.

Goliat przyjrzał się Kovařowi z niedowierzaniem, lecz po chwili wahania wyciągnął rękę.

– David Budač – przedstawił się i potrząsając dłonią Kovařa, patrzył mu w oczy, jakby szukał w nich ukrytego fałszu.

JFK wytrzymał jego spojrzenie i odwzajemnił silny uścisk.

– Mówiłeś ostatnio, że w twoim warsztacie brakuje jednego zmyślnego chłopca – powiedział Korbmann. – Jeśli to nadał aktualne, to go masz.

Budač zmierzył Kovařa wzrokiem i z zadowoleniem pokiwał głową.

– Czy to twój dobry przyjaciel, Adamie? – zapytał.

– Uratował życie mojej córce.

Olbrzym spojrzał ze zdziwieniem.

– Irenn? Czy wszystko z nią w porządku? Co się stało? – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Korbmann podrapał się po głowie.

– Króliczek oszalał... A Irenn stanęła mu na drodze.

Budač pokręcił głową.

– Powinieneś pozbyć się tego świra, Adamie. To wariat – powtórzył radę, którą Korbmann niedawno słyszał, i znów zwrócił się do Kovařa. – Niech pan przyjdzie rano do

mojego warsztatu, panie Nowotny. Zobaczymy, co pan potrafi i czy będę pana potrzebował.

Wprawdzie JFK miał pewne wątpliwości co do swego kunsztu kowalskiego, ale energicznie przytaknął. Miał nadzieję, że brakujące doświadczenie uzupełni wiedzą, o której ten świat dawno już zapomniał.

– Dziękuję za propozycję, mistrzu. Przypuszczam jednak, że ze względu na dzisiejsze uroczystości nie powinienem przychodzić zbyt wcześnie rano.

Nie zdołał się dowiedzieć, czy wyraz rozbawienia na twarzy Budača wywołała jego uwaga, czy to, że wypowiedział ją w miejscowym języku czeskim. Nagle zadudniły bębny, uniemożliwiając jakąkolwiek konwersację.

Uwaga jego towarzyszy, tak jak powoli milknącego tłumu, zwróciła się na człowieka, który wszedł na podium.

Był to mężczyzna okazałej postury, wzrostu około dwóch metrów, muskularny, z wydatnym brzuchem. Ważył bez wątpienia ponad sto kilogramów. Twarz miał pokrytą bliznami, długie włosy związane w koński ogon, złamany nos i ciemne oczy, w których kryła się dzikość o szaleństwo.

Kovař rozpoznał go natychmiast. W meldunkach Voštraka aż się roiło od informacji na temat tego indywiduum. A wniosek, jaki z nich wypływał, był ostrzeżeniem. Naczelny szef klanu policyjnego i całej społeczności Praagu, Waltr Souček, sprawiał wprawdzie wrażenie tępego awanturnika, lecz wrażenie było mylące. Dzięki swej determinacji, sprytowi, bezwzględności i stojącej za nim siły zdołał przed laty pokonać całą radę klanową i przejąć władzę nad miastem. W surowych warunkach życia na pierwszym miejscu stawiano zdecydowanie, bezkompromisowość i odwagę.

Souček machnięciem ręki uciszył tłum i wygłosił zwięzłą mowę, witając wyenneńskich kupców. Podkreślił ich znaczenie dla rozwoju miasta i oficjalnie ogłosił rozpoczęcie uroczystości.

JFK musiał przyznać rację Vostfakowi, Souček okazał się urodzonym mówcą, który dokładnie wie, co chce osiągnąć. Posmarował usta miodem, ale nie za bardzo, żeby nie myślano, że jest słabeuszem, który musi się im podlizywać. Przemawiał twardym, autorytatywnym tonem, niepozostawiającym wątpliwości co do tego, kto jest tutaj bossem.

Mieszkańcy miasta wynagrodzili Součka pełnymi entuzjazmu okrzykami na jego cześć. Jednak patrząc na swoich towarzyszy, Kovař dostrzegł w ich twarzach mieszaninę pogardy i nienawiści. Budač mamrotał coś pod nosem, były to bez wątpienia wyzwiska i wulgaryzmy.

Souček energicznym gestem przerwał owację i wykrzyknął:

– Warta melduje, że piecyste właśnie nadchodzi. Można zacząć łowy.

Jakby czekając na te słowa, z dala odezwał się róg myśliwski, którego dźwięk został zdławiony przez ogłuszający ryk pełen wściekłości i bólu. Kovař w duchu zdjął kapelusz przed Součkem – synchronizacja w czasie była doskonała, nic nie pozostawiono przypadkowi.

Z tłumu ozwały się znowu okrzyki i piski i wszyscy jak fala przyływu rzucili się w kierunku dobiegających odgłosów. Korbmann, jego zastępca i Budač również ruszyli, a ich oczy też zabłyły podnieceniem, chociaż nie chcieliby zapewne tego przyznać.

JFK pobiegł za nimi. Potężny kowal roztrącał pechowców stojących mu na drodze, a biegnący za nim korzystali z tego bez skrupułów. Mieszkańców Praagu opanowała gorączka, pchali się w wąskie uliczki, deptali sobie po nogach, krzyczeli i wymyślali. Nikt nie chciał stracić widowiska, rozgrywającego się tylko kilka razy w roku. Miejsc, z których mogli dobrze widzieć, nie było zbyt dużo.

Kovař wraz z towarzyszami przedarli się na ulicę prowadzącą na skraj miasta i razem z tłumem biegli pomiędzy ciemnymi wysokościami. Bolesne ryki zbliżały się, ziemia lekko drgała, a od fasad domów odbijało się coraz głośniejsze dudnienie.

Ludzie przed nimi zaczęli wbiegać do otworów, będących kiedyś oknami, zapalali łuczywa i po zdewastowanych schodach oraz drabinach pięli się na górę.

JFK wraz z Budačem wyszli na dach jednego z wieżowców prawie jako pierwsi, Korbmann i Linde przybiegli tuż za nimi. Podeszli do balustrady i spojrzeli na skraj miasta. W ciemnościach nocy nie zobaczyli jednak nic. Ale w miarę jak na górnych piętrach i dachach przybywało ludzi, robiło się coraz jaśniej od niezliczonych pochodni.

Nie minęło więcej niż kilka sekund, gdy na oświetloną przestrzeń wbiegło z rykiem kudłate monstrum. Zaskoczony Kovař głęboko odetchnął, tak ogromnego zwierzęcia jeszcze nie widział. Mamuty z okresu pierwszej epoki lodowcowej wyglądały przy nim niczym przerośnięte karły. Mastodont dosięgał grzbietem kalenic okolicznych domów i miał spore trudności ze zmieszczeniem się w niezbyt szerokiej ulicy.

Zakrwawionymi bokami ocierał się o betonowe ściany, wyłamywał z nich kawałki muru i na wszystkie strony wymachiwał potężną trąbą, kręcąc łbem opatrzonym parą długich, ostrych kłów. Pomiedzy jego słupowatymi nogami szalały ogromne psy, które wściekle szczekając, starały się gryźć gdzie popadnie. Myśliwi przesuwali się po olbrzymim cielsku ku głowie, zadając zwierzęciu rozliczne rany mieczami.

Kovař podziwiał bliską szaleństwa odwagę, z jaką balansowali na miotającym się

zwierzęciu, ale rozumiał motywy tego ryzyka. Dobrze wiedział, jaki wpływ na człowieka ma zastrzyk adrenaliny.

Dwóch z nich zapłaciło za to wysoką cenę – jeden nie utrzymał równowagi i spadł, a drugi ześliznął się po grubych kudłach na bok i mastodont dosłownie rozmazał go o betonową ścianę.

Było jednak jasne, że zwierzę umiera. Krwawiło z niezliczonych ran łba, w której tkwiły dziesiątki solidnych oszczepów, nogi pogryzione przez psy odmawiały mu posłuszeństwa. Uderzenia trąby, którymi mastodont starał się zmieść napastników z grzbietu, spowolniły i straciły energię.

Gdy zwierzę przesuwało się obok, Kovař zauważył, że jeden z myśliwych usiłuje rzucić oszczepem w jedno z wytrzeszczonych ślepi. Kiedy atak skończył się niepowodzeniem, rozejrzał się i ruszył biegiem.

JFK ledwie zdołał uniknąć zderzenia, gdy łowca przebiegał obok niego. Dziewczyna z pomalowaną na biało twarzą wyszczerzyła zęby do Kovařa i pobiegła za zwierzęciem wzdłuż skraju dachu. Wyprzedziła je i skoczyła. W locie nastawiła oszczep i w momencie, w którym wylądowała na nasadzie trąby, wbiła go do połowy długości w oko mastodonta.

Umierający kolos wydał przeciągły, żałosny ryk, od którego Kovařowi ciarki przeszły po plecach, i powoli osunął się na ziemię. Widzowie podnieśli radosną wrzawę, a potem zaczęli zbiegać na dół. JFK poszedł za towarzyszami, ale celowo wolniej, aż zniknęli mu z oczu. Na resztę nocy miał inne plany niż świętowanie pomyślnych łowów.

Wyszedł na ulicę, opuścił przestrzeń oświetloną pochodniami i zniknął w ciemności. Zmierzał z powrotem na plac, a potem dalej, aż do miejsca, gdzie stał kram czcigodnego wyenneńskiego kupca Maxmilian Scharfa.



Gdyby nie policyjne patrole, dotarłby na miejsce o wiele szybciej. Mając w pamięci mapę i meldunki agenta, przekazane podczas seansu hipnotycznego, dobrze orientował się w Praagu. Jeszcze przed dojściem do placu skręcił w boczną uliczkę i ruszył na skróty.

Przechodził obok z rzadka tylko zamieszkałych budynków, w których miejscami migotał słaby płomyk lampy albo świeczki czy dobiegał płacz dziecka obudzonego nocnym koszmarem. Mijał tawerny, sklepy i biura, które ludzie ery postatomowej wybudowali w miejscach, z których dawniej musiał rozciągać się piękny widok na miasto. Nic jednak nie przypominało mu Pragi, jaką znał.

Za to, że na próżno szukał takich miejsc jak Zamek Praski, most Karola, Petrin czy wieża Žižkov mogła być odpowiedzialna katastrofa atomowa albo odmienna historia tego

świata równoległego, tym niemniej jednak czuł się tak, jak przepowiadał Wolfgang – niczym obcy w obcej ziemi.

Kovař odegnał melancholijne myśli i wcisnął się w ciemny wykusz. Policjant przeszedł obok niego, niczego nie zauważając, i zniknął w ciemności.

Upłynęła co najmniej godzina zanim JFK stanął przed drzwiami z porysowanej blachy, za którymi zaginiony agent mieszkał przez kilka miesięcy.

Sprawdził uliczkę, na której stał, ale wszędzie było cicho i pusto. Nie świeciły lampy, od śniegu odbijało się tylko światło niezliczonych gwiazd błyszczących na nocnym niebie.

Agent przypuszczał, że strażnik będzie czekał dopiero wewnątrz budowli. Albo w samym kramie, albo gdzieś w pobliżu. Nie miało sensu marznąć na zewnątrz, gdy futra mastodonta i bez pieca zapewniały wystarczającą temperaturę.

Żeby zbytnio nie rzucać się w oczy, Voštrak musiał znaleźć sobie taką lokalizację, która nie znajdowała się w samym centrum, ale należała jeszcze do dzielnicy handlowej. Kram z jednej strony sąsiadował z innym, lecz przestrzeń po lewej stronie nie była zabudowana. To właśnie od tej strony strażnik będzie oczekiwał nieproszonego gościa. Tylne wejścia na pewno pilnuje kolejny, a trzeci może chować się gdzieś w zasadzce.

Kovař poszedł w prawo, w dostatecznej odległości przebiegł przez ulicę i wrócił do zamkniętej rolety blaszanej pokrywającej drzwi wejściowe. Nie usłyszawszy żadnego dźwięku, podskoczył, chwytając się górnej listwy. Rękawice ześliznęły się na zlodowaciałej powierzchni, ale Kovař zdołał się wciągnąć i jedną ręką namacać parapet okna nad sobą. Po cichu wgramolił się na niego i zastygł bez ruchu.

Dał sobie moment przerwy, jak w jego świecie radziła reklama czekoladowych batoników, i uspokoił oddech. Za otworem okiennym panowała nieprzenikniona ciemność. Przekroczył parapet i skoczył w głąb pomieszczenia. Czyhający wewnątrz człowiek natychmiast zaatakował.

JFK, który tego oczekiwał, padł płasko na podłogę. Powietrze nad jego głową ze świstem przecięło stalowe ostrze.

Podniósł się i dostrzegł sylwetkę przeciwnika na tle nieco jaśniejszego otworu okiennego. Mężczyzna zdał sobie sprawę ze swej niefortunnej pozycji, ale zanim zdążył zareagować, otrzymał silne uderzenie pod brodę. Zachwiał się i byłby wypadł przez okno, gdyby nie złapały go ręce nieznajomego przybysza. Chciał krzyknąć, lecz twardy chwyt za gardło uniemożliwił wydawanie dźwięków. Machnął nożem, ale nagły ból nadgarstka zmusił go do upuszczenia broni. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał w życiu, była twarz człowieka, na którego czekał. Wynurzył się z ciemności i czołem uderzył go w nos. Gwiazdy przeskoczyły z nieba do głowy strażnika, rozsypując się w szalonym wirze. Reszty dokonał

brak tlenu.

Kovař ułożył martwe ciało na podłodze i cicho podszedł do ściany. Jeśli to profesjonaliści – zostaną na swoich miejscach, czekają, aż do nich dotrze, i rzucają się na niego z zasadzki. Nie zawiódł się na nich, lecz mimo to ostrożnie przysunął się ku otworowi drzwiowemu.

Skurczony prześliznął się przez otwór do jeszcze głębszej ciemności. Przywołał w pamięci plan domu i ruszył dalej.

Pomału sunął korytarzem aż do przeciwległej ściany, a gdy spostrzegł jaśniejszy prostokąt okna, przystanął i nasłuchiwał. Niczego nie usłyszał, ale mimo to miał uczucie, że ktoś się przed nim kryje. Strażnika zdradził niebaczny ruch ręki, w której trzymał nóż. Ostrze zabłysło na moment w ciemności.

Agent zrobił kilka szybkich kroków, silnym kopnięciem w krocze zbił przeciwnika z nóg, a lewą ręką uderzył głową mężczyzny w mur. Głucho zadudniło, stał brzęknęła o podłogę.

JFK przycisnął nóż do gardła zamroczonego strażnika.

– Jeden krzyk, a nie nadążysz połykać krwi – szepnął.

Strażnik wyraźnie nie był wampirem, więc posłusznie milczał.

– Iłu was tu jest? – Kovař lekko nacisnął czubkiem noża pod grdyką.

Strażnik chciał żyć, więc zachrypiał:

– Trzech.

– Gdzie reszta?

– Jeden po drugiej stronie. – Kovař postawił na nim krzyżyk, ten już się nie liczył. – A drugi na dole.

– Zawołaj ich.

Gdy mężczyzna nie zareagował, Kovař lekko poruszył ostrzem. Pierwsze krople krwi pociekły z rozciętej skóry na podłogę.

Odezwało się podwójne stuknięcie, przerwa i jeszcze jedno, kiedy strażnik wystukiwał na podłodze umówiony sygnał.

Po kilku sekundach z dołu dobiegła odpowiedź, a po niej jakieś odgłosy.

– Zawołaj obu! – blefował Kovař, chcąc sprawdzić, czy strażnik nie kłamie.

– To był sygnał dla obu – dobiegł go szept. – Nie wiem, dlaczego drugi nie odpowiada.

– Kłamiesz.

– Nie kłamię.

Kovař nie mógł sobie pozwolić na pozostawienie za plecami żywego nieprzyjaciela.

– Właściwie to na jedno wychodzi – mruknął raczej do siebie i jednym ruchem

poderżnął strażnikowi gardło.

Usłyszał, jak trzeci strażnik cicho wchodzi na piętro. JFK nie marnował czasu i szybko przesunął się wzdłuż ściany ku schodom.

Mężczyzna zatrzymał się na szczycie stopni, stał cicho, wyczekując i nasłuchując. Kiedy doszedł go zapach krwi, poruszył się. Raczej wyczuł niż zauważył cień, jaki mignął przed nim wraz z powiewem powietrza. Coś uderzyło go w głowę i zwałił się martwy z powrotem na parter.

Kovař stal nieruchomo w ciemności, rozluźnił mięśnie i poczekał, aż tętno wróci mu do normy. Nie słysząc żadnych odgłosów, ruszył dalej, odnalazł właściwy korytarz i przeszedł nim aż do blaszanych drzwi. Nie były zamknięte, więc cicho wkroczył do mieszkalnej części domu.

Świeciły dwie łojowe lampy, ale było cicho i pusto. Znalezienie mieszkania Vořtraka zajęło Johnowi tylko kilka minut.

Stanął przed drzwiami, wystukał umówiony sygnał, mając nadzieję, że i tutaj jest ważny.

Był. Klamka poruszyła się i ledwie drzwi zaczęły się otwierać, Kovař uderzył w nie całym ciałem.

Oczekiwał, że strażnik zostanie odrzucony w głąb pomieszczenia, ale nienaoliwione zawiasy spowodowały, że tylko zachwiał się i cofnął kilka kroków.

To wystarczyło, żeby Kovař wtargnął do środka. Zatrzasnął za sobą drzwi i zrobił unik przed świszczącym ostrzem. Odbił kolejny atak i uderzył mężczyznę w twarz. Strażnik potknął się, potrząsnął głową.

Płomyk świeczki migotał, rzucając ruchome cienie, w jego świetle przeciwnik Kovařa wyglądał jak rozwścieczony demon. Był wprawdzie niższy od JFK, ale szerszy w ramionach, twarz miał poznaczoną bliznami pochodzącymi z podobnych bijatyk.

Otarł krew z rozbitych warg, przyglądając się Kovařowi spojrzeniem doświadczonego zabijaki. Nagle skoczył i agent miał sporo kłopotu z wykonaniem uniku przed zakrzywionym nożem i mocną pięścią. Uchyłał się od ciosów, starając się nie oddać placu.

Nie zdążył jednak zablokować uderzenia w zranione ramię i kiedy nieświadomie skrzywił się z bólu, przeciwnik to zauważył. Natychmiast dwa razy uderzył Kovařa w to samo miejsce i ciął nożem. JFK znów zrobił unik, ale mimo to ostrze drasnęło mu policzek. Jednak zanim osiłek zdążył wstrzymać swój ruch, Kovař wykorzystał to i pchnął go na ścianę. Ręka z nożem uderzyła w futrzane pokrycie, dało się słyszeć chrupnięcie łamanego nadgarstka. Mężczyzna jęknął, ale natychmiast sięgnął lewą ręką po nóż, który wypadł mu z dłoni.

Kovař uderzył osiłka w nerkę, zanim tamten zdążył podnieść broń, złapał za rozczochraną czuprynę i rzucił nim przez całą szerokość pomieszczenia na przeciwległą ścianę.

Strażnik grzmotnął w nią z rozmachem, osunął się plecami po murze na podłogę, ale Kovař już nad nim stał i kilkoma szybkimi uderzeniami pięści rozbił pokrytą bliznami facjatę.

Osilek sapał wyczerpany, z nosa, brwi i warg leciała mu krew, a chłodne spojrzenie profesjonalisty zastąpił wyraz wściekłości i nienawiści.

Agent nie dał mu szansy na odpoczynek. Przyklęknął mu na nogach i złapał za szyję.

– Gdzie jest Maxmilian Scharf?

Osilek tylko przymrużył zalane krwią oczy.

Kovař go uderzył.

– Dla kogo pracujesz?

Strażnik starał się plunąć na Kovařa, ale zmieszana z krwią ślina pociekła tylko na koszulę.

Kovař uderzył ponownie.

– Dwie niewłaściwe odpowiedzi, popaprańcu. – Uśmiechnął się chłodno. – Masz ostatnią szansę...

Trzeciego pytania nie zdążył zadać. Rozległ się huk, po nim drugi i drzwi za nim się rozpadły. Do wewnątrz wtargnęło trzech wyrwidębów, którzy rzucili się na agenta.

Kovařa zasypał grad umiejętnie zadawanych uderzeń. Starał się ich uniknąć, ale bez skutku. Napastnicy obalili go na podłogę, teraz oprócz pięści mogli używać też nóg. Kopniaki wymierzone w pierś i w żołądek spowodowały odruch wymiotny, John z trudem łapał oddech. Starał się wstać, lecz napastnicy nie pozwolili na to. Ciosy, które im oddawał, wydawały się zupełnie nieskuteczne.

– Dość! Wystarczy – rozkazał jeden z nich w momencie, gdy Kovař widział już tylko czerwoną mgłę przed oczami.

Osilek tymczasem wstał z trudem i gdy pozostali odstąpili od leżącego agenta, podszedł i kopnął go w podbrzusze.

Na tle czerwieni w oczach Kovařa pojawiły się ciemne koła. Miał nadzieję, że to przywiedzie go wprost ku utracie świadomości. Ale dwa mocne policzki szybko pozbawiły go złudzeń.

Z trudem rozwarł zlepione krwią powieki i zamrugał. Kucał przed nim chudy mężczyzna z siwiejącymi wąsami.



– Boss miał rację – uśmiechnął się zimno. – Przyjaciół pana Scharfa naprawdę przyjechał dziś wieczorem.

JFK oddychał z trudem. Przeklinał swoją nieostrożność i pecha, który sprawił, że przyszedł do kramu Voštraka akurat w porze zmiany strażników.

Chudzielec jeszcze przez chwilę przyglądał się sponiewieranemu Kovařowi, później wstał i skinął na pozostałych.

– Zwiążcie go i...

Nie dokończył, bo głowa stoczyła mu się z ramion. Krew z przeciętych tętnic trysnęła na nogi Kovařa.

Zabijaki odwrócili się błyskawicznie i dobyli noży. Kovař dostrzegł wysoką sylwetkę błyskającą wokół siebie obnażonym ostrzem. Ktoś zaklął, zadźwięczała stal, odezwał się charkot i głucho uderzenia ciał padających na podłogę. Przewaga liczebna w ograniczonej przestrzeni izby okazała się utrudnieniem – strażnicy zginęli, zanim JFK zdążył wykonać jakiś ruch.

Stękając boleśnie, zdołał podnieść się na łokciach i oprzeć o ścianę, w tym samym miejscu, w którym poprzednio leżał osiłek z bliznami na twarzy. Potoczył wzrokiem dookoła.

Stojąca nad nim kobieta poklepywała dłoń lewej ręki krótkim mieczem i uśmiechała się szyderczo. Poprzez warstwę zasychającej krwi i mimo mroczków przed oczami Kovař dostrzegł krągłości jej foremnie ukształtowanej postaci, dające się zaobserwować nawet pod futrzanym ubraniem. Nie miała już na głowie kaptura zakrywającego krótkie, rozczochrane włosy ani pomalowanej gliną twarzy, lecz Kovař rozpoznał ją bez trudu. Była to ta sama kobieta, która skoczyła z dachu na mastodonta i zabiła go jednym celnym ciosem. Taką kobietę na ogół się zapamiętuje.

Myślałam, że z Wyenny przyślą lepszego rębajłę – oznajmiła uszczypliwie i wyciągnęła rękę, żeby pomóc Kovařowi wstać.

KOBIETA NA ZŁY CZAS



JFK obmył twarz zimną wodą i zaraz poczuł się nieco lepiej. Zmęczony oparł się o blaszany stolik, pozwolił kroplom kapać do prymitywnej umywalki – misy wykonanej z kamienia – i obserwował odbicie swojej posiniaczonej twarzy na powierzchni wody. Później odwrócił się do łowczyni, przyglądającej mu się w milczeniu.

– Ile mamy czasu, zanim nadejdą inni? – spytał chrapliwym głosem, obmacując twarz. Przypominała utłuczony cienko sznycel wiedeński.

– Jeśli chce pan wziąć jeszcze prysznic, to niewiele. – Skrzywiła się ironicznie, a zanim zdążył wymyślić jakąś ciętą odpowiedź, dodała: – Najwyżej pół, może trzecie godziny, potem zrobi się tu trochę niebezpiecznie.

Pokiwał głową, porównując jednocześnie wydarzenia kilkudziesięciu ostatnich minut z meldunkami zaginionego agenta.

Pierwsze z nich zawierały informacje o miejscowym społeczeństwie, charakterystykę struktury władzy, obyczaje, styl życia i postępy Voštraka we włączaniu się do społeczności. Poszukiwania jednak już od początku utknęły w martwym punkcie. Agent miał ze sobą prymitywną wersję lokalizatora pola hiperprzestrzennego, ale żadnych zakłóceń nie zarejestrował.

Kovař, milcząc, przeszedł obok łowczyni i przyklęknął obok czterech martwych mężczyzn. Chociaż wiedział, co to za jedni, zapytał:

– Wie pani, kto ich przysłał?

Nie widział jej, ale przypuszczał, że przytaknęła.

– Bruno Lebovsky, ktoś by inny...

To się zgadzało. Max Voštrak wkrótce po swoim przybyciu stwierdził, że większość tych, którzy przyjechali wyenneńską karawaną, jest śledzona i łączy się to z zaburzeniami hiperpola. Jeśli agencja zdołała je zarejestrować, musiało to działać i w odwrotną stronę. Temu, kto stał za tym wszystkim, fakt przybycia Voštraka nie umknął i postanowił go odszukać. Szpicle zaczęli śledzić przybyszów, a agent bez trudu stwierdził, że to ludzie Bruna Lebovsky'ego, bossa miejscowego podziemia przestępczego.

JFK odwrócił się i z pozorną podejrzliwością zmierzył wzrokiem dziewczynę.

– A panią kto przysłał?

Jego pytanie miało charakter kontrolny, Darja Messner była nieodłączną częścią

ostatnich meldunków Voštraka. Dziewczyna uśmiechnęła się jakby trochę smutno.

– Max mnie przysłał. – Tym razem w jej głosie nie dało się już usłyszeć ani śladu ironii.

Kovařa ta odpowiedź zaskoczyła.

– Wie pani, gdzie on jest?

Przecząco pokręciła głową, a wyraz zatroskania na jej twarzy pogłębił się.

– Nie, tego niestety nie wiem. Powiedział mi tylko, że gdyby mu się coś stało, gdyby nie zdołał posłać meldunku do Wyenny, przyjdzie ktoś inny dokończyć jego zadanie.

Kovař przytaknął.

Voštrak próbował dotrzeć do Lebovsky ego i natknął się na Darję Messner, która podejrzewała szefa podziemia o zlecenie morderstwa jej ojca, przywódcy klanu. Chciała się dowiedzieć, dlaczego musiał umrzeć i jaki interes miał w tym Lebovsky. Oczywiście, pragnęła też go zabić. Vostfak wykorzystał okazję i zyskał partnerkę, której wmówił, że został wysłany przez wyenneńskie podziemie przestępcze. Wymyślił historyjkę o dyskretnej przesyłce, która miała dotrzeć do Wyenny z Berlynnu, ale zaginęła w Praagu w zagadkowych okolicznościach. Ponieważ wiele wskazywało na to, że mógł w tym maczać palce Lebovsky, przybył Voštrak alias Scharf, żeby odzyskać zgubę.

– Za każdym razem, gdy przybywała wyenneńska karawana – mówiła dalej łowczyni – miałam tutaj czekać, dopóki ktoś się nie pojawi.

JFK wstał.

– Nawet nie podziękowałam pani za pomoc. – Wskazał zakrwawione ciała na podłodze i wyciągnął rękę: – Hans Nowotny.

Kobieta przez chwilę patrzyła na niego badawczo, po czym uściśnęła dłoń.

– Darja, Darja Messner – przedstawiła się, nie wypuszczając dłoni Kovařa z uścisku. –

Dobrze znasz Maxa?

Kovař zrobił przekonującą minę.

– To mój przyjaciel, Darjo.

Puściła wreszcie jego rękę i zapytała:

– Myślisz, że nie żyje?

JFK nie miał pewności. Nie domyślał się, kto bawi się hiperpolem ani jakie ma zamiary. Była jednak niewielka szansa, że Voštrak okazał się dla tych zamiarów na tyle ważny, że pozostawiono go przy życiu.

– Zrobię wszystko, żeby z Lebovsky'ego nie tylko wydusić przesyłkę, ale i znaleźć Maxa. Żywego albo martwego.

Darja ze smutnym uśmiechem pokiwała głową i wstała.

– Mam dla ciebie informację od Maxa – powiedziała trochę niepewnie. – Raczej hasło, czy coś w tym rodzaju.

Voštrak nie przestawał zadziwiać Kovařa. Skinieniem ręki poprosił dziewczynę, żeby mówiła dalej.

– Zapis, to jest ta informacja. Tylko to jedno słowo. Podobno już będziesz wiedział...

Spojrzała na Kovařa wyczekująco.

JFK domyślał się, o co chodzi. Voštrak prawdopodobnie wykrył coś, o czym nie zdążył powiadomić agencji. Coś na tyle ważnego, że sporządził zapis tej informacji i gdzieś go ukrył.

– Wiem, co to znaczy – powiedział zamyślony i dodał: – Nic więcej nie powiedział? Tylko to?

– Tylko to. Bo gdyby mnie złapali, byłoby lepiej wiedzieć jak najmniej. I miał rację...

– Jak to? Złapali cię?

Zagryzła wargę i potwierdziła:

– Jeszcze tego samego dnia, kiedy Max zniknął, przyszli po mnie. Dlatego że z Maxem... – urwała.

Oj, Max, Max, zganił JFK Voštraka w duchu, jakoś zapomniałeś tego ująć w raportach.

– ...że się z Maxem spotykałam – dokończyła. – Chcieli się dowiedzieć wszystkiego, co wiem. Udawałam naiwniaczkę, która pozwoliła się uwieść cudzoziemcowi, i uwierzyli. Dostałam kilka razy po buzi i przykazanie, żebym trzymała się swojego klanu.

Darja potrząsnęła głową, jakby chciała odgonić niemiłe wspomnienia.

– Posłuchałam ich. – Popatrzyła na Kovařa, a potem się skrzywiła. – Ale już mnie to zaczęło nudzić.

Kovař, rozbawiony jej filozofią, odegrał małą improwizację.

– Ten zapis to informacja umieszczona w małym pudełeczku – zaczął mieszać prawdę z kłamstwem. – Mniej więcej takim. – Pokazał rozmiar kasety magnetofonowej. – Masz jakiś pomysł, gdzie on mógł to schować?

Rozejrzał się po pokoju. Mieszkanko było urządzone prosto, ale funkcjonalnie, tak jak przyczepa Korbmanna. Oprócz łóżka z futrzanymi okryciami i kamiennej umywalki, w kącie stały jeszcze blaszana szafa, stół i dwa krzesła. Pomieszczenie uzupełniał niewielki ustęp i prymitywna kabina prysznicowa.

Darja pokręciła głową.

– Jeśli schował ten zapis tutaj, już dawno go mają. Byłam tu zaraz po zniknięciu Maxa,

ale wszystkie jego rzeczy zostały zabrane. Zdarli nawet futra ze ścian i z podłogi.

JFK przestał się rozglądać, starając się wczuć w sytuację Voštraka. Gdzie schowałby zapis, gdyby wiedział, że każdy jego krok jest śledzony? Że nieprzyjaciele wiedzą, gdzie mieszka i gdzie ma sklepik? Agenci EF to nie amatorzy, Max musiał znaleźć lepszą skrytkę.

– Nasz czas właśnie upłynął – wyrwała go z zadumy Darja, która nasłuchiwała z uchem przyciśniętym do drzwi.

– Muszę jeszcze obejrzeć sklepik Maxa. Kiedy Lebovsky dowie się, co zaszło, nie będę już miał do tego sposobności – zauważył Kovař.

I od tej chwili na każdym kroku będę miał za plecami cień, dodał w duchu.

– No to szybko.

Darja podbiegła do lampy, zdmuchnęła płomień i otworzyła drzwi. Ostrożnie wyjrzała na ciemny korytarz, a potem szybko ruszyła w prawo ku schodom.

Po cichu zeszli ku drzwiom. Nie były zamknięte, strażnik, którego Kovař wezwał na górę, nie zdążył ich zaryglować.

Sklepik wyglądał tak, jakby przebiegło przez niego stado mastodontów. Półki porozrzucone, stół służący za ladę sprzedażną wywrócony do góry nogami, krzesła ciśnięte w kąt.

Weszli do środka. Pod nogami chrupnęły im resztki tanich artefaktów, na jakie mogli sobie pozwolić mniej majątni klienci. Albo było ich za dużo, przez co straciły na cenie, albo zostały uszkodzone. JFK dostrzegł fragmenty klawiatur komputerowych, popękane zapalniczki, długopisy, połamane naczynia plastikowe i wiele innych zniszczonych przedmiotów, których przeznaczenia nie zdołał odgadnąć.

Cenne artefakty przywłaszczył sobie Lebovsky, zniknęły również księgi handlowe, które według słów Darji Max prowadził.

Rozglądali się bezradnie, pogrążeni w niewesołych myślach. Kovař szukał jakiejś wskazówki, czegokolwiek, co mogłoby doprowadzić do miejsca ukrycia zapisu, ale na nic nie natrafił.

Za blaszaną roletą rozległ się odgłos kroków i to nie jednego człowieka.

Darja i JFK znieruchomieli. A potem dosłownie tanecznymi krokami zaczęli kluczyć pośród artefaktów i mebli ku drzwiom.

Kovařowi zdawało się, że trwa to bardzo długo, jednak opatrność nad nimi czuwała. Jeden głośniejszy dźwięk i równie dobrze mogliby, odsunąwszy roletę, zaprosić ludzi Lebovsky ego do środka.

Nagle Darja zachwiała się. JFK spostrzegł, że jej but naciska na kawałek

porcelanowego klosza od lampy, ale łowczyni w ostatniej chwili oparła się o ścianę. Znieruchomiała na moment, dając Kovařowi możliwość podziwiania jej atletycznych kształtów, i wypuszczając powietrze, przestawiła nogę w inne miejsce. Dwa szybkie kroki i dotarła do drzwi. JFK zrobił ich o dwa więcej.

Przeszli na schody i wbiegli na piętro. Szybko pokonali ciemny korytarz, nasłuchując kroków nadchodzących ludzi, i po następnych schodach weszli piętro wyżej.

Kovař pozwolił się Darji prowadzić. Orientowała się tu lepiej od niego i mogła znać przejścia, o których Vořtrak nie meldował.

Na trzecim piętrze było ciemno, lecz w miarę jak przechodzili na drugi koniec domu, ciemność zmieniała się w szarówkę. Można było rozpoznać otwory po wywalonych drzwiach i poprzeczne korytarze. Kovař przypuszczał, że ta część domu mieściła raczej biura niż pomieszczenia mieszkalne.

Darja zatrzymała się obok okna, przez które sączyło się słabe światło, położyła palec na ustach Kovařa.

Na tle poszumu wiatru przenikającego przez szpary usłyszeli klątwy i gniewne okrzyki ludzi Lebovsky'ego, którzy znaleźli pozabijanych kompanów. Kovař i Darja jeszcze chwilę poczekali, czy nie usłyszą ich kroków, a potem ruszyli korytarzem ciągnącym się wzdłuż tylnej ściany wieżowca aż do kolejnych schodów, którymi wydostali się na wolną przestrzeń poza domem.

Obeszli budynek z odwrotnej strony niż ta, od której dostał się do niego Kovař podczas swej nocnej wyprawy, ukryci w cieniu przebiegli przez ulicę prowadzącą do sklepu Vořtraka i wynurzyli się pomiędzy ruinami drapaczy chmur. Szli szybko, przystawali od czasu do czasu, aby upewnić się, czy nikt ich nie śledzi, i w końcu jedną z uliczek dotarli na główny plac.

Uroczystości znajdowały się w fazie powolnego zamierania. Część ludzi pomału odchodziła, inni nadał snuli się obok kramików i ognisk, na których piekło się mięso mastodonta. Kilku niezmordowanych starało się tańczyć przy dźwiękach piszczałek i bębnów. Niektórzy dyskutowali, kłócili się lub pokrzykiwali, przy czym bójki nie należały do rzadkości.

Kovař i Darja wolno przechodzili wśród tłumu przypominającego znarkotyzowanego lewiatana^[3], obserwując spod oka wylot uliczki, z której wyszli.

- Muszę wypić jednego – oświadczył Kovař, wypatrując najbliższego szynku.
- Najpierw powinniśmy zapewnić ci alibi – oznajmiła Darja i rozejrzała się wokół, jakby kogoś szukała.

Kovař popatrzył na nią zdziwiony, ale zaraz pojął, o co jej chodzi.

– Rzeczywiście, zamiast twarzy mam ogłoszenie: jeśli szukacie tego, który zabił waszych kumpli, to właśnie go znaleźliście.

Darja przytaknęła, nadal błędząc wzrokiem po ludziach.

– No tak – powiedział Kovař zamyślony. – Ale co...

Zanim skończył pytanie, złapała go za rękę i pociągnęła ku jednemu z ognisk.

– Wystarczy, że złapiesz mnie za tyłek i trochę się do mnie przyciśniesz – rzuciła przez ramię.

– Jak to? – JFK miał wrażenie, że chłopaki Lebovsky ego nie tylko facjatę, ale i rozum mu przefasonowali.

– Możesz mi zaufać. – Uśmiechnęła się rozbawiona i położyła rękę agenta na miejscu, które tak podziwiał w sklepie Vořtraka. JFK musiał przyznać, że jego obserwacje były trafne, pod ciasno opiętym futrem czuł poruszające się jędrne mięśnie.

Przytuleni do siebie niczym kochankowie podeszli do ogniska, wokół którego stało kilku młodych mężczyzn. Podawali sobie z rąk do rąk blaszaną butlę, pokrzykiwali i odkrawali z ogromnej pieczeni obfite porcje mięsa.

Wtedy Kovař zapoznał się z planem Darji. I na odwrót, plan zaznajomił się z nim.

Rozbawieni młodzieńcy spostrzegli ich i zabawa stopniowo ucichła. Jeden z nich, osiłek z siecią blizn na twarzy, wypluł wódkę, którą wlał właśnie do ust, i zaryczał jak mastodont.

Roztrącił kompanów i nie zwracając uwagi na nic, ruszył przez ognisko, stając na drodze Kovařowi i jego towarzysze.

– Dlaczego, do cholery, to zawsze musi być ten największy? – mruknął JFK, nierad, że znów przyjdzie mu wystąpić w roli worka bokserskiego.

– Wyciągasz łapę po moją kobietę! – ryknął wyrwidąb i aby dodać wagi swej wypowiedzi, potężnie beknął. Wokół zaczęli gromadzić się gapie, z góry ciesząc się na zapowiadającą się bijatykę.

Kovař wyswobodził się z objęć Darji i odepchnął ją od siebie. Popatrzył na nią, a później zwrócił się znów do osiłka z udanym zakłopotaniem.

– Musisz się mylić, przyjacielu – powiedział, jakby młodzieniec oskarżył go o kradzież parasola. – Swoją kobietę zawsze poznam.

Olbrzym zamrugał zdezorientowany.

– Może twoja jest do mojej tylko podobna? – podsunął mu myśl Kovař i zrobił minę, jakby w łatwy sposób rozwiązał pozornie złożony problem.

Dopiero teraz mózdek wyrwidęba wyswobodził się z oparów alkoholu i doszedł do wniosku, że ktoś robi sobie kpiny z jego właściciela. I tak też pokierował jego reakcją.

Kovař szczęśliwie uniknął uderzenia, wykorzystał energię, jaką włożył w nie przeciwnik i silnym uderzeniem w nerki posłał go na ziemię. Widzowie zamruczeli z uznaniem.

– Przestańcie! Całkiem jak mali chłopcy! – Darja krzyknęła to, co kobiety zwykle wykrzykują w takich przypadkach, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Olbrzym postanowił zaprzestać gry w śnieżki, wygramolił się na nogi, sapnął, otarł śnieg z twarzy i ruszył na Kovařa, który wziął głęboki oddech i gdy osiłek doszedł do niego, spróbował trafić go prostym w brodę.

Umyślnie uderzył za wcześnie i jego ręka natychmiast została unieruchomiona w żelaznym uścisku. Ułamek sekundy potem w twarz Kovařa uderzył potężny cios. Na szczęście zdążył odwrócić głowę i ogromna pięść prześliznęła się po policzku, rozbity nos nie miał większego znaczenia.

Upadł i zanim zdążył wstać, wyrwidęb złapał go za kurtkę i postawił na nogi. Zamachnął się do kolejnego ciosu, gdy wtem JFK wyrzucił głowę do przodu i trafił czołem w nos przeciwnika. Coś chrupnęło, osiłek ryknął boleśnie. Ale uchwytu nie rozluźnił i znów walnął Kovařa w twarz.

To mogłoby wystarczyć, pomyślał JFK, leżąc na ziemi.

Miał mroczki przed oczami, na prawe oko widział niewyraźnie i bolała go głowa. Zaczął gramolić się z ziemi naprzeciw kołyszącego się olbrzymia, ale zanim zdążył zrobić jakikolwiek ruch, przez krąg gapiów przepchnął się człowiek ubrany w kozuch w kolorze niebieskim.

W ręce trzymał drewniany obuszek, którym stuknął każdego z walczących w pierś.

– Wystarczy, panowie – zdecydowanym tonem zakończył pojedynek i skinął na kompanów młodzieńca. – Zabierzcie go stąd.

Posłuchali, a gdy gapie zaczęli się rozchodzić, zwrócił się do Kovařa.

– Nie wygląda pan najlepiej. – Skrzywił się. – Gdybym nie nadszedł, Tony zrobiłby z pana kotlet siekany – dodał i znów popukał agenta obuszkami w pierś. – Na przyszłość niech pan go raczej unika.

JFK postanowił, że jeśli facet stuknie go jeszcze raz, odbierze mu obuszek i pokaże, jak robi się z kogoś siekany kotlet.

Na szczęście pojawiła się Darja.

– Zatroszczę się o niego, panie posterunkowy. Proszę się nie martwić – powiedziała do stróża prawa.

– Powinna pani, panno Messner – odparł z powagą i uniósł obuszek.

Ale gdy zobaczył minę Kovařa, mruknął tylko coś pod nosem, odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Teraz jestem już o wiele spokojniejsza. – Darja z zadowoleniem uczepiła się Kovařa i zaczęła nawigować ku najbliższemu szynkowi.

– Bezbłędnie.

– I jeszcze napatoczył się ten glina, a to prawie stuprocentowe alibi.

– Bezbłędnie.

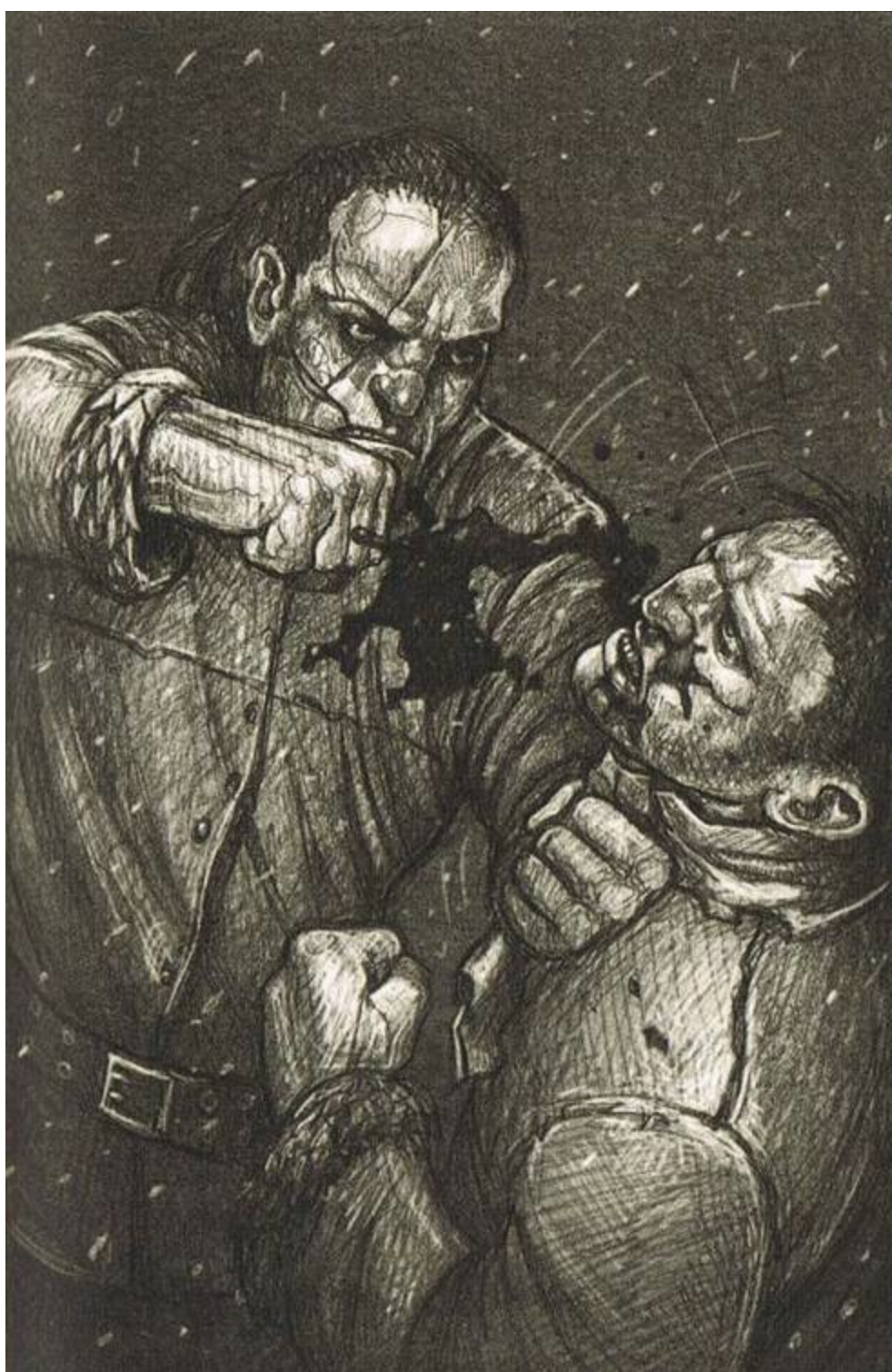
– Żaden z nich nie będzie jutro pamiętał, że już przedtem byłeś poturbowany.

– Bezbłędnie.

– Wszystko z tobą w porządku? – Darja popatrzyła na niego troskliwie.

Kovař zatrzymał się zakłopotany. Nie mógł powiedzieć jeszcze raz „bezbłędnie”, tym razem to nie pasowało. Ta okoliczność wyrwała go z letargu.

Wiesz, ostatnie dwa dni miałem całkiem zwariowane: napadł mnie rozwścieczony brytan, zabiłem kilku goryli miejscowego mafiosa i dostałem po gębie od mastodonta w ludzkiej skórze – wyliczył swoje przygody, zatrzymując się pod drzwiami szynku. – Czuję się jak piłeczka golfowa po całodziennym grze, ale myślę, że to minie po paru głębszych i kilku godzinach snu.



– Bezbłędnie. – Darja wyszczerzyła do niego zęby i weszła do gospody.

JFK nabrał garść śniegu, przetarł zakrwawioną twarz, po czym też wszedł do środka.

Usiedli na wolnej ławie. Otaczający ich pijacy doszli już do stadium mamrotania niezrozumiałych mądrości i prawd dotyczących świata, których sensu nie pojmują słuchacze ani nawet sam ich głosiciel. Kwestią czasu pozostawało, kiedy jedni zasną, a inni powloką się do domu pijani.

Kovař skinął na gospodarza, ściągnął kaptur i rozwiązał sznurowanie wokół szyi. W szynku było przyjemnie ciepło, a może zaczął już przywykać do miejscowych warunków. Darja zrobiła to samo, a kiedy przechodził obok nich rudy chłopak z półmiskiem gorącego

mięsa i chlebem, zamówiła butelkę miejscowej wódki.

Patrząc na smakowicie pachnące mięso, Kovař poczuł burczenie w brzuchu. Uświadomił sobie, że ostatni raz jadł w południe, jeszcze w przyczepie Korbmanna.

Rudzielec przyniósł baniastą blaszaną butlę, postawił na stole i wyciągnął rękę. JFK położył na niej trzy miejscowe miedziaki – Przynieś nam pan takie jedzenie. – Wskazał stół w pobliżu, gdzie jeden z podpitych gości zajadał ze smakiem, popijając wódką.

Rudy zrobił znużoną minę, półgłosem zaklął, ale poszedł po zamówione danie.

Kovař stuknął się z Darją blaszanym kubkiem, a gdy miłe ciepło rozlało się po jego wnętrznościach, skinął w kierunku drzwi.

– To był twój adorator?

Darja desperacko przytaknęła.

– On jest z naszego klanu. Jeden z najlepszych łowców. I najambitniejszych. Myślę, że wkrótce wyzwie mojego stryja na pojedynek o przywództwo w klanie. – Wydawała się zaniepokojona.

– Powiedz stryjowi, że Tony jest powolny i niezgrabny. Polega na swojej sile, ale kilka dobrze umiejscowionych ciosów w twarz mogłoby rozciągnąć go na ziemi. – JFK rozproszył jej niewypowiedziane obawy.

Uśmiechnęła się i przytaknęła, lecz wzrok uciekł jej gdzieś daleko. Zapewne wspominała swego ojca. Kovař nalał nowe porcje. Milczeli, popijając wódkę, a kiedy gospodarz doniósł im jedzenie, rzucili się na nie jak dwa wygłodniałe Króliczki.

Mięso było dobrze wypieczone, a chleb świeży. Darja po pewnym czasie uznała, że zjadła już dość, ale Kovař nadal ucztował. Podziwiał przy tym ludzi, którzy nie poddali się w warunkach pozornie uniemożliwiających wypiek chleba.

Voštrak, opisując swoje pierwsze dni w lodowym świecie, przekazał informację o tym, że tutejsi ludzie znaleźli sposób, jak uprawiać zboże, warzywa i owoce. Jako sady, plantacje i pola służyły dachy najwyższych wieżowców, na których wybudowano ogromne szklarnie. Trud się opłacił, płodów nie było zbyt dużo, ze względu na ograniczoną powierzchnię upraw, ale znakomicie wzbogacały skromny miejscowy jadłospis. Popyt znacznie przewyższał podaż i wkrótce przywódca klanu rolniczego został jednym z najbogatszych, a tym samym najbardziej wpływowych ludzi w mieście.

Skończywszy posiłek, Kovař po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł się zadowolony. Po całym jego ciele zaczęło rozlewać się przyjemne zmęczenie. Darja okazała się dowcipną i inteligentną towarzyszką. Swobodnie konwersowali, łowczyni opowiadała mu o życiu w mieście, a on rewanżował się wymyślaniem fikcyjnych historyjek z Wyenny.

W końcu doszli do wniosku, że najlepiej będzie trochę się przespać. Darja musiała nazajutrz pomagać przy oprawianiu mastodonta, a na Kovařa czekało kowadło i młot.

– Jutro zobaczymy, co spowodowaliśmy naszą dzisiejszą działalnością – zamyślił się Kovař. – Sądzę, że coś na pewno wypłynie na powierzchnię. Przyjdź wieczorem do warsztatu Budača i wymyślimy, co dalej robić.

Darja dopiła swoją wódkę i wraz z Kovařem wyszła na ulicę.

Uroczystości się skończyły. Po placu kręciły się resztki desperatów, ogniska przygasały, krzyki i śpiewy odzywały się już tylko sporadycznie. Mieszkańcy Praagu wracali do domów, jutro czekał ich kolejny dzień nieustającej walki o przeżycie.

– Bądź ostrożny, Hans – przypomniała mu Darja, gdy zatrzymali się w jednej z uliczek. – Możliwe, że wszystkim przybyszom z Wyenny przydzielili cienie.

JFK przytaknął i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Bruno będzie miał wkrótce sporo różnych kłopotów, nie zostanie mu dość czasu na szpiclowanie – oznajmił złowieszczym tonem ze wzrokiem wbitym w ciemność.

Pożegnali się i każde poszło w swoją stronę. Darja objaśniła Kovařowi drogę do domu Korbmann, okazało się, że to niedaleko, JFK miał nadzieję, że handlowiec nie śpi, bo musiał wypełnić jeszcze jedną powinność.



JFK wsunął rękę w pasmo światła księżycowego i sprawdził czas na ręcznym zegarku. Przed chwilą nagrał pierwsze sprawozdanie dla agencji i oczekiwał na pojawienie się tunelu komunikacyjnego.

Rozmyślał o tym, gdzie Vořtrak mógł ukryć niewysłany zapis, ale nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy. Pozostał jedyny trop, którym mógł ruszyć jutro wieczorem. Przypuszczał, że w ten sposób popchnie sprawy do przodu na tyle, że wystarczy mu pięć dni pozostających do czasu możliwego przejścia z powrotem. Był zdecydowany zrobić wszystko, żeby się to udało, nie zamierzał marnować w tej lodowni całych trzech miesięcy, oczekując na otwarcie się następnego okna.

Zapach ozonu poczuł wcześniej niż w opuszczonym budynku, rozbłysły wyładowania powstającej bramy hiperprzestrzennej. Może raczej bramki, stwierdził, wkładając kasetę magnetofonową do tunelu nie większego niż kilka decymetrów.

Kiedy tylko wyciągnął rękę z bramki, połączenie zostało przerwane i pośród murów znów zaległa ciemność, rozjaśniana jedynie blaskiem księżyca. Kovař stał jeszcze przez chwilę nieruchomo i nasłuchiwał, a potem ostrożnie wyszedł z budynku.

Gdy jego kroki ucichły, od jednego z filarów oderwała się jakaś postać i przykłękała w

miejscu, w którym przed chwilą zamknął się tunel transportowy.



Kovař odetchnął z ulgą, widząc, że przez roletę sklepu Korbmanna przesącza się światło. Delikatnie zastukał.

Wewnątrz rozległ się jakiś rumor, a po nim kroki zmierzające do drzwi wejściowych.

– Kto tam? – ozwało się zza nich.

– To ja, herr Korbmann, Hans Nowotny – odpowiedział Kovař i odstąpił o krok.

Drzwi się otworzyły i handlowiec wyszedł na próg z lampą w ręce. Gdy Kovař podszedł w krąg światła, Korbmann ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Wyglądał pan o wiele lepiej, kiedy się rozstawaliśmy – skomentował jego widok i gestem zaprosił agenta do środka.

– Pokłóciłem się z jednym chłopiną. Wydawało mu się, że mam coś, co do niego należy. A raczej... kogoś.

– Jak widzę, nie traci pan czasu. – Korbmann pokręcił głową. – Znalazł pan herr Scharfa? – dodał.

– Wygląda na to, że albo się przeprowadził, albo wyjechał z Praagu. Jego sklepik jest opustoszały. – JFK nie chciał wdawać się w szczegóły.

– Spróbujemy jutro sprawdzić, co się z nim stało. – Korbmann poklepał Kovařa po ramieniu i skierował do wnętrza sklepu.

Przechodząc przez pomieszczenie niewiele większe niż to, które widział u Vořtraka, JFK ujrzał rozłożone na ladzie papiery.

– Jeszcze pan pracuje? – Skinął głową.

Korbmann wyglądał na niepewnego, chyba nieco przestraszonego, lecz szybko się opanował i jego twarz przybrała zwykły, trochę zmęczony wyraz.

– Wie pan... – Wzruszył ramionami. – Długo mnie nie było. Muszę sprawdzić, co się moim chłopcom udało sprzedać i z czego mnie oskubią poborcy podatkowi.

JFK pozwolił się zaprowadzić na piętro, gdzie Gitta przyszykowała dla niego pokoik.

– Już poprzednim razem pana fatygowałem. – Kovař zrobił zdesperowaną minę.

Handlowiec pokręcił głową.

– Niech pan nie myli fatygowania z przyjaźnią, herr Nowotny. Obudzę żonę, żeby pana opatrzyła.

– To nie będzie konieczne – zaprotestował Kovař. – To tylko zdraśnięcia. Muszę się po prostu wyspać, a rano wpadnę do felczera.

Korbmann życzył mu dobrej nocy i odszedł. Kovař słyszał, jak pomału schodzi na dół i

zamyka drzwi sklepiku.

Mimo przemożnej chęci natychmiastowego położenia się, zmusił się do wzięcia prysznicu i nałożenia czystej bielizny.

Potem zaległ na łóżku i stwierdził, że zmęczenie jest pozorne. Właściwie był zmęczony, ale również podniecony tak, że sen nie nadchodził. Spróbował ułożyć sobie obraz wydarzeń z kilku ostatnich godzin i chociaż nie mógł znaleźć żadnego racjonalnego powodu, wciąż powracał myślą do momentu, kiedy przechodził przez sklep Korbmanna.

Coś zwróciło tam jego uwagę, lecz zasnął, zanim zdał sobie sprawę, co to mogło być.

WŁADCA REWIRU



Zachmurzony mężczyzna siedzący za dużym mahoniowym biurkiem potargał brodę i rozparł się wygodnie w fotelu. Nadal spoglądał na drzwi, za którymi zniknął pierwszy z jego ludzi, jaki przyszedł dziś złożyć sprawozdanie.

Pierwszy ruch należał do nieprzyjaciela, pomyślał.

Kiedy służący obudził go z rana, był przygotowany na rychłą wizytę któregoś ze swoich goryli. I nie zawiódł się, w godzinę później siedział w gabinecie, a naprzeciw niego znajdowała się ta ludzka Świnia, na widok której robiło mu się niedobrze. Nie miałby problemu z wymienieniem jej na kogoś innego, ale nie chciał tego zrobić, bo to była bardzo przydatna Świnia.

Gość sapał, parskał i przeklinał, ale mimo tego brodatemu mężczyźnie udało się wydobyć z niego podstawowe fakty. Dowiedział się, że pułapka pozostała pusta, jak również tego, że z myśliwych zostały tylko kawałki martwego mięsa.

Ofiara, na którą czekał, okazała się drapieżnikiem. Może niewiele silniejszym niż jego poprzednik, ale wyposażonym w niebezpieczny zestaw informacji.

Wstał nagle i podszedł do oszklonego okna, za którym rozciągał się wspaniały widok na zamieszkałe centrum Praagu.

Patrzył na budynki przypominające trzonowe zęby w białych dziąsłach lodowego olbrzyma. Ja też byłem kiedyś ofiarą... – przypomniał sobie czasy, kiedy rodacy ścigali go po całej planecie. Ale on dysponował jednym podstawowym atutem, był lepszy, doskonalszy od nich. I zniknął im z oczu tutaj, w mieście na drugim końcu świata. Wspomnienia przebiegały mu przez głowę niczym burza śniegowa gnająca ulicami miasta, a on trwał nieruchomo, patrząc, jak jego oddech osiada na szybie.

A później przybył ten cudzoziemiec z innego świata...

Kiedy zarejestrował swoim siódmym zmysłem naruszenie materii, myślał, że to ktoś taki jak on, tak samo doskonały. Chciał go odszukać i zabić, bo dwóch predatorów w jednym rewirze nie wróży nic dobrego. A to miasto należało do niego.

Otworzył okno. Wionął lodowaty podmuch, przenikliwy i ostry jak nóż. Taki, jaki lubił. Odetchnąwszy głęboko, zamknął oczy.

Nie trwało długo, zanim goryle przywlekli mu związanego przeciwnika. Przez chwilę zastanawiał się, czy to nie może być ktoś taki jak on, ponieważ ten właśnie człowiek, ta

ludzka Świnia zdołała zapanować nad materią.

Uśmiechnął się z przyjemnością, przypomniawszy sobie wielogodzinne tortury, jakim poddał jeńca. Stał o wiele niżej w hierarchii niż jego dostoyny prześladowca, ale okazał się zacięty i kiedy została z niego tylko bełkocząca resztką człowieka, nie wyjawiał wiele więcej niż wynikało z przeglądu jego rzeczy.

Jasne było, że przybył z innego świata i że wykorzystał w tym celu włamanie do sedna materii o wiele głębsze niż brodacz zdołałby wykonać. Intruz przybył nie tylko poprzez przestrzeń, ale przez nadprzestrzeń pomiędzy dwoma wszechświatami. Wtedy właśnie brodacz zrozumiał, jaki skarb ma przed sobą. To mogło oznaczać koniec jego losu banity. I nie tylko to, otwierał się przed nim nowy, zupełnie inny świat, w którym mógł sięgnąć po nieograniczoną władzę.

Zamknął okno, podszedł do dużego lustra i z zadowoleniem przyjrzał się swemu odbiciu. Wyglądał znakomicie – zdrowy, mocno zbudowany. Z twarzą okoloną szeroką brodą, prostym nosem i wąskimi oczami sprawiał wrażenie kogoś, kto był kiedyś drapieżnikiem pomiędzy swoimi.

Rozejrzał się po gabinecie urządzonym funkcjonalnie, jednak z należnym przepychem. Dobrze to zorganizował. Miał odpowiednie wpływy, lecz stał na uboczu.

Był bogaty, choć nie uwidaczniał swych możliwości. Doskonały kamuflaż.

Mrugnął do swojego odbicia w lustrze, a potem opuścił gabinet. Przeszedł przez korytarz, minął kilku podwładnych pozdrawiających go lekkimi ukłonami i wszedł do pracowni lekarskiej.

Uświadomiwszy sobie, w jaki sposób spędzi kilka najbliższych godzin, poczuł strach. Odpędził go jednak szybko, gdyż od chwili, w której stwierdził, że istnieje możliwość przejścia do innego świata, wiedział, że nie może się wycofać.

Zatrzymał się na chwilę przy blaszanym stole, na którym leżało ludzkie ciało. Trup był nie do poznania. Twarz miał porozbijaną, poszarpaną i popaloną, powieki odcięte, oczy wyłupione, kość czołową zmiążdżoną. Wyglądał tak, jakby w nim eksplodowała bomba – resztki wnętrzości poniewierały się pomiędzy połamanymi nogami.

O mało mnie nie zabiłeś, zwrócił się w myślach do trupa, przeciągając czubkami palców po jego obnażonej klatce piersiowej. Gdy chciał się z nim złączyć, aby przejąć zdolności przeciwnika i przełamywać materię międzyświatową, poczuł tak silny ból, jakiego nie doświadczył nigdy dotąd. Chociaż jeniec był człowiekiem, miał w sobie coś, co nie chciało połączyć się z komórkami brodacza. W ostatnich przebłyskach rozumu zatrzymało cały proces i zawróciło go.

Przy tym wspomnieniu wstrząsnąłby się, gdyby umiał to zrobić, więc tylko przygryzł wargę.

Kilka godzin trwał w agonalnych konwulsjach, zanim jego organizm z najwyższym trudem pozbył się nieznannej agresywnej substancji. Ale przeżył, a kiedy się pozbierał, długo i starannie przemyślał nad tym, co zrobić, dokładnie przeglądając wszystkie odebrane jeńcowi przedmioty. W końcu znalazł urządzenie, które przypominało artefakty, przyrząd do wykonywania zapisów, za pośrednictwem jakiego cudzoziemiec przesyłał informacje do swojego świata. Było więc jasne, że wkrótce pojawi się ktoś, kto będzie poszukiwał zaginionego. Nowa ofiara, druga szansa na ucieczkę z tego lodowego piekła, daleko od niestrudzonych prześladowców. Tym razem jednak chciał być przygotowany i dlatego załatwił sobie pomagiera.

– Jestem gotowy, mój panie – odezwał się głos z przyległego pomieszczenia, skąd w chwilę później wyszedł, kulejąc, garbaty karzeł z wielką strzykawką. Mężczyzna nie dziwił się, że coś takiego mogło przeżyć w świecie, który należał do silnych. Apokalipsę oprócz drapieżników przeżyły również pasożyty. Sprytne pasożyty, takie jak ten garbus.

– Wybornie, doktorze Oetker – powiedział, chociaż wcale się tak nie czuł. Przeszedł obok człowieka do pokrytej kocami leżanki i zdjął skórzaną marynarkę, zastanawiając się jeszcze, czy załatwił wszystkie ważne sprawy.

Otrzymał dziś jedną istotną informację. Gdy rano policjanci kontrolowali wszystkich, którzy przyjechali z karawaną, dokonali interesującego odkrycia. Jednego z nich brakowało – człowieka o nazwisku Otto Hilke, który podczas kontroli wstępnej przedstawił się jako członek klanu budowniczych. Przyjechał z żoną i bratem, których już mieli „pod opieką” jego ludzie. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy złapią zaginionego budowlańca, w rzeczywistości przybysza z innego świata. Trwały już poszukiwania, ktoś musiał schować nieprzyjaciela, intruz nie mógł przeżyć sam, bez pomocy innych.

Brodacz podwinął rękaw ciepłego trykotu, który nosił pod marynarką, i obnażył muskularne ramię.

– Może pan zaczynać, doktorze. – Skinął oczekującemu Oetkerowi i patrząc na płyn w strzykawce, odruchowo zacisnął pięść.

Po nieudanym eksperymencie z „przejęciem” cudzoziemca, garbusowi udało się wyizolować z jego ciała pozostałość śmiertelnej substancji. Chodziło o napromieniowaną materię, która podczas każdego przejścia pomiędzy światami odkładała się w kościach i tkankach. Oetker rozrzedził ją krwią swego pana i aplikował mu stopniowo. Powodowało to okropny ból, ale w końcu komórki brodacza zaczęły wchłaniać substancję.

Teraz miał miejsce drugi zabieg. Zanim uda mu się złapać Hilkego, jego organizm będzie już na tyle przygotowany, że zdoła go przejąć bez obawy. A kiedy połączy swoje zdolności z materią wchłoniętą przez tkanki, stanie się zdolny do przełamywania przestrzeni pomiędzy światami, bez pomocy cudzoziemskiej technologii. Czekala na niego ziemia obiecana.

Gdy poczuł, że igła zagłębia się w żyłę, zamknął oczy.



JFK kuł żelazo, póki gorące.

Później znów wsadził je do paleniska i miechem rozgrzał do właściwej temperatury. Wytarł pot z czoła i napił się wody.

Odetchnął z ulgą, kiedy po kilku nieudanych próbach zaczęło mu iść lepiej i mógł udowodnić Budačowi, że mimo iż nie jest mistrzem w fachu kowalskim, zdoła zrobić przynajmniej to samo, co jego towarzysze.

Oprócz niego w kuźni pracowało jeszcze pięciu ludzi, dzwoniły młoty, syczał chłodzony metal i huczały rozdmuchiwane paleniska. Kovařa zaskoczyło, jak długo łajno mastodonta może się palić i jaki żar przy tym powoduje.

Żelazny drąg poczerwieniał i JFK znów wziął się do pracy. Tak jak pozostali obserwował spod oka dwóch policjantów, którzy kontrolowali kuźnię.

Już po raz drugi przychodzili na inspekcję. Jako pierwszy zjawił się posterunkowy, który wezwał Kovařa i mamrotał coś o tym, że w nocy popełniono zbrodnię i podejrzany

jest któryś z wyenneńskich przybyszów.

Gdy Kovař podszedł do niego, badawczo przyjrzał się jego pobitej twarzy i zapytał, co robił w nocy. Otrzymał wyjaśnienie, które mogło potwierdzić co najmniej dwudziestu ludzi, w tym jego kolega policjant. Na koniec zwolnił Kovařa, zapowiadając, że sprawdzi jego wersję.

Agent uniósł młot i znowu zaczął kuć. Fakt, że zabitymi mafiosami zajmowała się policja, był pewnym sygnałem, chociaż równie dobrze mógł nic nie znaczyć. Lebovsky być może miał tylko luźne kontakty z miejscową władzą, a Kovař dobrze wiedział, że również w jego świecie nie było to nic niezwykłego. Nie miał jednak zamiaru lekceważyć tej informacji.

Drąg zaczął w końcu nabierać kształtu przypominającego ostrze kilofa. JFK jeszcze kilka razy uderzył w niego pod właściwym kątem i włożył znów do ognia.

Druga wizyta policjantów była o wiele bardziej interesująca. Stwierdzili bowiem, że jednego z przybyszów wyenneńskiej karawany brakuje i niezwłocznie uznali go za głównego podejrzanego. Na pytanie, czy zna Otto Hilkego, Kovař odpowiedział odmownie, podobnie jak wszyscy inni obecni w kuźni. Mimo tego policjanci zbadali każdy kąt domu Budača, ale bez rezultatów.

JFK nie życzył Hilkemu źle, lecz jego zniknięcie było mu na rękę. Zapewne poprzedniego wieczoru nadużył trunków i teraz odsypiał kaca, w gorszym zaś przypadku umarł w drodze do łóżka. Kovař wiedział, że ten szczęśliwy zbieg okoliczności nie potrwa długo i dlatego usilnie przemyślał nad swymi dalszymi posunięciami.

– Widzę, że robota idzie sprawnie, herr Nowotny – z zamyślenia wyrwał go znajomy głos. Odwrócił się i zobaczył Adama Korbmana, stojącego nieopodal i przyglądającego się jego pracy.

Kovař odłożył młot i prawie gotowy kilof, wytarł ręce o skórzany fartuch i uściśnął dłoń Korbmana.

– Staram się nie zawieść zaufania, jakim mnie pan obdarzył – powiedział z uśmiechem.

Korbmann pokiwał głową i rozejrzał się.

– Słyszałem, że mieliście tu gości...

Kovař tak pilnie pracował, że nawet nie zauważył, kiedy policjanci odeszli.

– Szukają jakiegoś Hilkego. – Wzruszył ramionami.

Korbmann popatrzył na niego swoim badawczym wzrokiem.

– Mam dla pana niepomyślnie wieści – powiedział zachmurzony. – Nikt z moich znajomych niewie, gdzie może być herr Scharf. Potwierdzili tylko, że od pewnego czasu

go nie widują. Może powinien pan zapytać o niego w ewidencji mieszkańców, tam będą wiedzieli, czy się przeprowadził, czy wyjechał z miasta.

Była to ostatnia rzecz, jaką Kovař zamierzał zrobić, ale mimo tego udał, że to dobry pomysł.

– Tak właśnie zrobię, dziękuję za pańskie starania – odparł z roztargnieniem, bo wspomnienie sklepu Korbmanna znów do niego powróciło.

Handlowiec pożegnał się i przeszedł przez kuźnię ku schodom wiodącym na piętro, gdzie mieściło się biuro Budača.

Gdy John spoglądał za odchodzącym Korbmannem, nagle przypomniał sobie, o co chodziło. Już wiedział, gdzie Vořtrak ukrył niewysłany zapis i jak go odzyskać.

Był to stary trick, używany przez każdego, kto musiał bezpiecznie ukryć ważną przesyłkę, wiedząc, że każdy jego krok jest śledzony. Vořtrak posłużył się jednym ze swoich artefaktów, ukrył w nim zapis i komuś sprzedał.

Tu jednak wyłoniła się nowa trudność. Wszystkie rzeczy Yostraka zostały zabrane, w tym księgi rachunkowe, i nie było sposobu, żeby stwierdzić, kto okazał się szczęśliwym kupcem.

Wziął do ręki kolejny kawał żelaza i naraz przypomniał sobie to, co Korbmann mówił o podatkach za sprzedane artefakty. Bingo! Istniała przecież instytucja prowadząca ewidencję sprzedaży – miejscowy urząd finansowy.

Kovař spojrział na zegarek. Do końca pracy pozostało jeszcze około dwóch godzin, urząd mógł być już nieczynny, kiedy go odnajdzie po upływie tego czasu. Na zwłokę zaś nie powinien sobie pozwolić.

Nie powinien też opuścić kuźni wcześniej.

Z zapałem walił w rozżarzone żelazo i intensywnie myślał. W końcu wpadł na odpowiedni pomysł.

Rozejrzał się i nagle zaklął głośno. Najbliżej pracujący człowiek obejrzał się i odłożył młot.

– Co się stało? – zapytał.

– Puścili mi szwy na ranie. – Kovař złapał się za ramię, które kazał sobie opatrzyć po drodze do kuźni, razem z innymi szramami i otarciami skóry.

– Skocz do mistrza, niech cię zwolni do felczera – zaproponował jego towarzysz i wrócił do pracy.

Kovař przeszedł przez warsztat z dłonią wciąż na ramieniu i wszedł na piętro.

Z biura Budača dobiegały podniecone głosy, JFK zatrzymał się, zerknął wokoło i

zaryzykował.

Po cichu przesunął się pod drzwi i zaczął nasłuchiwać. Chociaż teraz rozmawiano ciszej, mógł zrozumieć każde słowo.

– Nie mówisz tego poważnie, Adamie. – Usłyszał głos Budača, który z trudem hamował swój temperament. – Już jutro?!

– Każda godzina zwłoki grozi nam odkryciem – oponował nie mniej podniecony Korbmann. – Jutro będzie tak samo dogodny dzień jak każdy inny.

– Rozbiją nas jak nic. Nie mamy strzelb ani samostrzałów.

– Nie rozbiją, zwabimy ich w pułapkę. Łowcy przygnają kudłaczy, już to uzgodniłem z Messnerem. Wystarczy tylko twoja zgoda.

Budač milczał, JFK rozejrzał się nerwowo. Gdyby go tu ktoś przyłapał, trudno byłoby udowodnić, że nie jest szpiegiem.

– Są zbici z tropu tymi zabójstwami – nalegał Korbmann. – To idealny moment. Możesz mi wierzyć, Davidzie. Przecież po to po mnie posłałeś...

Kovařowi to wystarczyło. Ostrożnie zszedł z powrotem do kuźni. Musiał poczekać, dopóki Korbmann nie odejdzie, sądząc z podsłuchanej rozmowy, nie przypuszczał, żeby to długo potrwało. Nawet gdyby poszedł tam znowu, hałasując rozmyślnie, żeby zdążyli w porę zamilknąć, to i tak mógłby ryzykować wzbudzeniem podejrzeń.

Jego przypuszczenia były słuszne, po dziesięciu zaledwie minutach przez kuźnię przeszedł zamyślony Korbmann. Z nieobecny wyrazem twarzy skinął Kovařowi na pożegnanie i wyszedł, zamykając za sobą bramę wejściową.

Kovař znowu powędrował na piętro i zapukał do biura Budača.

Wszedł po usłyszeniu zezwolenia. Mistrz kowalski starał się ukryć emocje, jakie wywołała w nim debata z Korbmannem i gdy agent zamknął za sobą drzwi, zapytał:

– Czego pan sobie życzy, panie Nowotny?

– Nie chcę panu przeszkadzać, mistrzu, ale puściły mi szwy w ramieniu i wolałbym skoczyć do felczera. Za godzinę będę z powrotem – powiedział, trzymając rękę na ramieniu, żeby nie było widać, że w rzeczywistości nic mu się nie stało.

Czerwień na twarzy Budača z wolna ustępowała.

– Niech pan idzie, panie Nowotny. – Kiwnął głową. – Niech pan da tej ranie trochę odpocząć i przyjdzie dopiero jutro. Odwalił pan kawał dobrej roboty. Myślę, że skorzystam z poręki Adama.

JFK podziękował i wyszedł.

W kuźni zgasił ogień pod paleniskiem i przez chwilę rozważał, czy zabrać swój worek. W końcu uznał, że będzie mu tylko przeszkadzał. Nasunął kaptur i wyszedł na ulicę.

Od pierwszego mieszkańca, jakiego spotkał, dowiedział się, gdzie znajdzie urząd finansowy. Poszedł w tym kierunku, rozmyślając nad zasłyszаныmi informacjami.

Od samego początku przypuszczał, że Korbmann coś ukrywa, ale że okaże się to w gruncie rzeczy ktoś w rodzaju kolegi po fachu, tego zupełnie nie brał pod uwagę. Szykowało się przejęcie władzy – szefom poszczególnych klanów wyraźnie skończyła się cierpliwość do despotycznego Součka, a ponieważ nie byli w stanie uzgodnić sposobu postępowania, wezwali z Wymy specjalistę.

Do tego wniosku doskonale pasowało zabójstwo jedyne go człowieka, który był w stanie zorganizować przewrót, poderwać ludzi i poprowadzić ich do akcji. Ojca Darji.



Zanim JFK dotarł do urzędnika zajmującego się ewidencją podatków za sprzedaż artefaktów, był uboższy o półtora złote go.

Usiadł na krześle przed biurkiem i przybrał pokorny wyraz twarzy.

– Co mogę dla pana zrobić? – zapytał urzędnik wyćwiczonym profesjonalnym tonem i położył dłonie na blacie.

Kovař miał uczucie, że jeśli we wszystkich światach istnieje coś identycznego, to są to urzędnicy. Większość z nich była chuda, o wąskich twarzach, wysokich czołach i przerzedzonych włosach.

– Widzi pan – zaczął niepewnie Kovař – mam pewien problem...

Mężczyzna przyglądał mu się uporczywie z nieruchomą twarzą, a JFK ciągnął:

– Upatrzyłem sobie pewien artefakt, ale zanim zgromadziłem stosowną sumę, handlarz sprzedał go komuś innemu...

Ten urzędnik mógłby służyć w jakimś muzeum w charakterze eksponatu, jako członek rodu ludzi biurowych.

– Sprzedawca nie chce mi, niestety, powiedzieć, komu sprzedał artefakt – opowiadał Kovař. – Przyszło mi do głowy, że mógłbym się tego dowiedzieć tutaj.

Wyglądało na to, że mężczyzna zdecydował się już nigdy nie poruszyć, ale w końcu otworzył usta i powiedział:

– Nie udzielamy takich informacji. Musimy chronić prywatność naszych obywateli.

JFK starał się sprawiać wrażenie zafrasowanego, kładąc na biurku srebrną monetę.

Urzędnik nawet na nią nie spojrział.

– Cóż, szanowny panie, informacje to drogi interes – powiedział cicho, acz dobitnie.

Kovař dołożył drugą monetę.

Mężczyzna wstał i podszedł do blaszanych szuflad z segregatorami.

– Wie pan, kiedy towar został sprzedany? – zapytał, stojąc plecami do Kovařa.

Agent szybko przypomniał sobie, jaką datę nosił ostatni zapis Vořtraka.

– W zeszłym miesiącu – odrzekł.

Urzędnik wyciągnął jedną z szuflad i przez chwilę w niej grzebał. Potem usiadł i położył przed sobą księgę oprawioną w skórę. Nie kwapił się jednak, aby ją otworzyć.

JFK, westchnąwszy, dołożył kolejnego srebrnika. Przestraszyła go nagła myśl, że gdzieś wśród bezliku światów równoległych istnieje Świat Urzędniczy.

Mężczyzna otworzył księgę, przekartkował ją, zatrzymując się na odpowiedniej stronie, i znów położył ręce na blacie biurka.

Cierpliwość JFK się skończyła. Uniżoność zniknęła z jego twarzy, rysy stwardniały tak samo jak spojrzenie.

Księga natychmiast znalazła się przed nim, z usłuźnie wskazanym palcem miejscem, w którym zaczynał się żądany miesiąc. Urzędnik wstał, nawet nie dotykając monet, i dyskretnie odszedł kilka kroków. Rozjuszonego drapieźnika lepiej było nie drażnić.

Kovař przeglądał zapisy podatkowe, sprawdzając lewą kolumnę, w której figurowały nazwiska sprzedających. Na nazwisko Scharf natrafił od razu na drugiej stronie – przesunął wzrok na sąsiednią kolumnę, zawierającą nazwę sprzedanego przedmiotu. W kamiennym posąźku ciężko byłoby schować zapis, więc szukał dalej. Nie wiedział dokładnie, czego poszukuje, ale miał nadzieję, że gdy na to natrafi, zorientuje się natychmiast.

Gdy przewrócił kolejne trzy strony, o mało nie zaśmiał się głośno. Jakież to proste, drogi Watsonie...

Przejechał palcem aż do kolumny, w której wyszczególniony był nabywca, lecz nazwisko Mojmir Kakos nic mu nie powiedziało. Przywołał stojącego nieopodal urzędnika.

– Muszę wiedzieć, gdzie go znajdę – oznajmił tonem niedopuszczającym odmowy czy niewiedzy.

Pięć minut później zadowolony szedł w nadchodzącym zmroku ku domowi szanowanego kupca handlującego futrami.



Mojmir Kakos był zupełnym przeciwieństwem pracownika urzędu finansowego. Sprawiał wrażenie człowieka, który doszedł do wniosku, że świat za murami jego domu jest czymś, czego do swego życia nie potrzebuje. Wyraźnie miał dość pieniędzy, żeby stać się zadowolonym tłuściochem z trzema podbródkami i brzuchem, którego mógł mu pozazdrościć sam Budda.

Siedział przy niskim stole, pośród wyprawionych kolorowych futer i z przyjemnością popijał gorącą kawę, której zapach przepelniał całe pomieszczenie.

– Proszę się poczęstować, przyjacielu, i powiedziec, co pana sprowadza. – Życzliwie skinął pulchną rączką w kierunku porcelanowego serwisu i przymrużył oczy.

Kovař nalał sobie kawy, przez moment rozkoszował się chwilą spokoju. Pracownik handlowca najpierw nie chciał go zaanonsować, ale kiedy JFK dał do zrozumienia, że jego wizyta ma związek z artefaktami, pobiegł zapytać szefa i wreszcie przepuścił agenta dalej. Żeby jak najszybciej pozbyć się Kovařa, za darmo dorzucił informację, że Kakos ma do tego rodzaju towaru szczególną słabość.

– Chodzi mi o jeden z artefaktów, szanowny panie Kakos – zaczął uprzejmie Kovař, a widząc zainteresowanie rozmówcy, kontynuował:

– O artefakt, który zakupił pan w sklepie pana Scharfa.

Słyszac nazwisko, pod którym występował Vostfak, Kakos się rozjaśnił.

– Znakomity człowiek, znakomity! Rzadko widzi się takie okazy, jakie miał na składzie.

– Tak się ekscytował, że Kovař miał uczucie, jakby pędziła na niego fala tsunami.

Przytaknął szybko, oceniając jednocześnie Kakosa. Może i wyglądał jak beczka sadła, niewykluczone jednak, że pomimo tego był twardym handlarzem.

– Otóż, wie pan, dosyć mi zależy na tym artefakcie. – Kovař zrobił poważną minę. – Bardzo chętnie odkupiłbym go od pana.

Kakos odstawił filiżankę z kawą, a w jego oczach pojawiło się coś jakby błysk diamentów. JFK ocenił go prawidłowo.

– Zależy od tego, co to jest – odparł rozważnie kupiec. – I co miałby pan do zaoferowania?

– Chodzi mi o przedmiot mniej więcej takich rozmiarów. – Pokazał dłońmi. – Z napisem Sharp.

Kakos pokiwał głową.

– Wiem, co pan ma na myśli, panie Nowotny – zaczął, a agent od razu wiedział, jaka będzie odpowiedź. – Nie zdecyduję się go sprzedać, to jeden z najlepszych okazów w mojej kolekcji.

JFK zrobił zmartwioną minę i spróbował z innej beczki.

– Widzi pan, ten artefakt należał do mojej rodziny, ale wpadliśmy w kłopoty finansowe i musieliśmy go sprzedać. Gdy poszedłem go odkupić, pan Scharf powiedział, że już artefaktu nie ma...

Granie na uczuciach na ogół dawało rezultaty, lecz diamenty w oczach Kakosa świeciły

nadal. Kovař spróbował nacisnąć mocniej.

– Moja matka bardzo się przywiązała do tego przedmiotu i teraz, kiedy leży na łożu śmierci, chciałem jej jeszcze zrobić przyjemność...

Kakos uniósł filiżankę i napił się kawy. Pod jego czaszką w miejscu mózgu wyraźnie krył się kalkulator.

– To rzeczywiście nieprzyjemna sytuacja, panie Nowotny – powiedział po chwili cicho.
– Zdecydowanie nie sprzedam tego artefaktu, ale żeby pan nie pomyślał, że jestem barbarzyńcą, znalazłem rozwiązanie.

Kovař słuchał z napięciem.

– Za niewielką sumę jestem skłonny posłać artefakt do pana domu. Kiedy się nim pańska matka nacieszy, mój człowiek odniesie go z powrotem. Co pan na to?

Gdyby Kovař mógł powiedzieć prawdę, byłyby to same ordynarne słowa. Musiał jednak udawać zadowolonego i gorliwie przytaknął.

– Byłbym panu dozgonnie wdzięczny, szanowny panie Kakos – zmusił się do uprzejmości i postanowił wprowadzić w życie plan B.

Zadowolony handlarz rozparł się wygodnie w fotelu. Kovař jednak nie pozwolił mu na odpoczynek.

– Chciałbym pana jeszcze poprosić, abym mógł spojrzeć na artefakt. Chodzi o to, czy to naprawdę on.

W oczach Kakosa pojawił się momentalnie błysk, gdy tylko Kovař, wypowiedziawszy swoją kwestię, wyciągnął ostatnią złotą monetę.

W ciągu kilku minut, podczas których w milczeniu popijali kawę, radiomagnetofon został przyniesiony. Kovař czuł ogromne podniecenie, przeciągając palcami po jego plastikowo–metalowej powierzchni.

Zanim dostarczono radiomagnetofon, zdążył wyjąć ze swego dyktafonu pustą kasetę przygotowaną do kolejnego zapisu. Rozmyślał teraz gorączkowo, jak odwrócić uwagę Kakosa.

– Czy to ten? – zapytał handlarz z nutą niecierpliwości w głosie.

Kovař udawał, że nie jest pewny, obracał magnetofon w rękach i oglądał ze wszystkich stron. Stawiając go z powrotem na stół, niezgrabnie zawadził o swoją filiżankę.

Porcelana zachybotła się na drewnianej powierzchni stołu, na której natychmiast pojawiła się kałuża ciemnej cieczy.

JFK mamrotał przeprosiny i starał się wytrzeć rozlaną kawę rękawem. Kakos zadzwonił energicznie miedzianym dzwoneczkiem, a potem z tłumioną wściekłością zapewniał Kovařa, że nic się nie stało.

Nadbiegł służący i zabrał się do robienia porządku. Gdy znalazł się pomiędzy nimi, Kovař, nadal przeprasząc, otworzył szufladkę magnetofonu. Tkwiła w niej kaseeta. Błyskawicznie zamienił ją na swoją.

Nikt niczego nie zauważył. Kakos nerwowo bębnił palcami po stole, jego pracownik posprzątał i odszedł.

Kovař bardzo szybko uzgodnił z Kakosem, że następnego dnia zjawi się z odpowiednią sumą i zrealizuje pomysł handlarza.

Było już ciemno, kiedy JFK znalazł się z powrotem na ulicy. Do spotkania z Darją pozostawało około godziny, a ponieważ chciał przedtem przesłuchać kasetę, ruszył szybkim krokiem.

Dwa budynki przed kuźnią Budača skręcił w poprzeczną ulicę i skierował się ku niezamieszkałej części Praagu. Często zmieniał kierunek, przechodził przez budynki, od czasu do czasu krył się w zakamarkach, żeby ewentualnego cienia zaskoczyć z zasadzki.

Dopiero kiedy zyskał przekonanie, że nikt go nie śledzi, ukrył się na parterze jednego z domów, zapewniając sobie przy tym otwartą drogę ucieczki.

Począł jeszcze przez chwilę i po omacku wsunął kasetę do dyktafonu. Ustawił pokrętło głośności na minimum, włączył napęd i wdusił przycisk odtwarzania. Odezwał się cichy szum, po którym rozległ się głos agenta specjalnego Maxmilian Voštraka.

– Pozdrowienie temu, który tego słucha. Będę mówił zwięźle, wrogowie są bowiem wszędzie wokół mnie i wydaje się tylko kwestią czasu, kiedy mnie złapią. W tej chwili prawdopodobnie słuchasz głosu zza grobu, więc uważaj, nie każdemu się w tym świecie poszczęści.

Nawet w tej próbie żartu Kovař wyczuł w tonie Maxa napięcie i strach.

– Ale do rzeczy: zapomnij o Lebovsky m, nie ma on nic wspólnego z przypadkami naruszenia hiperpola. To płotka, która pracuje dla prawdziwego rekina. Nie wiem, kto nim jest, ale jednego jestem pewien: to mutant.

JFK przypomniał sobie przedstawienie teatralne, które poprzedniego dnia oglądał na początku uroczystości. Prawie nikogo nie interesowało...

– Dla mnie również to odkrycie było zaskoczeniem. Tutejsi ludzie sądzili, że zniszczyli mutantów, ale kilka piranii wyśliznęło się z sieci. Na pytanie, jak im się to udało, odpowiedź jest prosta: umieją zmieniać swój wygląd. W jakiś sposób potrafią użyć ludzkiego DNA i stać się, kim tylko zechcą.

Kovař zatrzymał odtwarzanie i uważnie nasłuchiwał, czy nie dzieje się coś podejrzanego. To, co przekazywał zaginiony agent, było tak fascynujące, że zupełnie

zapomniał o ostrożności. Nic nie usłyszawszy, znów włączył odtwarzanie.

– Ale uwaga, to nie wszystko. Mutant, którego szukamy, umie jeszcze coś: potrafi się teleportować. I to właśnie spowodowało zakłócenia modulowanego hiperpola, które nas tu sprowadziły. Dzięki swym zdolnościom jest też w stanie wyczuwać przerwanie błony czasoprzestrzennej i od początku wiedział, że się tutaj pojawiłem.

JFK chciał znów przerwać odsłuchiwanie, zdecydował się jednak odtworzyć je do końca.

– W każdej chwili może nadejść klient po artefakt, w którym ukryję ten zapis. Powinieneś wiedzieć jeszcze jedno. Na pewno poznałeś już Darję. Niezła sztuka, nie sądzisz? Dużo mi na początku pomogła, ale nie ma róży bez kolców. Nasza mała łowczyni próbuje ugrać coś na własną rękę. Nie wiem co, lecz od początku byłem dla niej tylko... – Coś nagle zatrzeszczało, głos Maxa rozpadł się na kilka niezależnych sylab, a potem John usłyszał już tylko szum przewijającej się taśmy.

SKOK NA ZIEMIĘ



Kovař dotarł do kuźni późno, przemarznięta łowczyni przytupywała już zniecierpliwiona. Gdy do niej podszedł, nabrała powietrza, żeby wygłosić jakąś kąśliwą uwagę. Spozrzegła jednak wyraz jego twarzy i porzuciła ten zamiar.

– Coś się stało? – zapytała pełna obawy.

– Lepiej będzie pomówić o tym gdzieś indziej – odparł cicho, rozglądając się. – Muszę znaleźć sobie mieszkanie, będziemy mieli przynajmniej prywatność.

Wszedł do pustej już kuźni i zabrał swoje rzeczy. W milczeniu poszli w kierunku budynku, w którym można było wynająć pokój.

Kovař po drodze do kuźni obejrzał kasetę i stwierdził, że w miejscu, gdzie zapis się kończył, taśma jest pognieciona. Agent nie zdążył nagrać reszty przekazu, bo właśnie przyszedł Kakos po artefakt. Ale i tak Kovař dowiedział się wszystkiego, co było mu potrzebne. Teraz pozostawała tylko decyzja, czego mógłby z uzyskanymi informacjami dokonać.

Dotarli do rozległego budynku, gdzie Kovař odliczył administratorowi pięć miedziaków i zapłacił najem na miesiąc. Weszli po schodach i znaleźli drzwi do nowego lokum Kovařa. Specjalnie wybrał pokój na samym końcu korytarza, na piętrze, które było bardzo mało obsadzone.

Zapalili lampę i JFK usiadł przy stole. Czuł zmęczenie, jakiego już od dawna nie doświadczył. Darja jeszcze raz sprawdziła, czy źle oświetlony korytarz jest pusty, i usiadła obok niego.

Agent przez chwilę patrzył na nią uważnie i powiedział:

– Chcę ci coś przedstawić.

Wyjął dyktafon z kasetą przewiniętą prawie na sam koniec nagrania i włączył odtwarzanie. Vořtrak po raz drugi w dniu dzisiejszym przemówił zza grobu:

– ...poznałeś już Darję. Niezła sztuka, nie sądzisz? Dużo mi na początku pomogła, ale nie ma róży bez kolców. Nasza mała łowczyni próbuje ugrać coś na własną rękę.

W tym miejscu wyłączył urządzenie. Darja nie musiała wiedzieć, że na taśmie nic więcej nie ma, a John był ciekawy jej reakcji. Lewą rękę schowaną pod stołem trzymał w pobliżu rękojeści noża.

Siedziała bez ruchu zamyślona. Nie wyglądała na zaskoczoną ani przestraszoną, raczej

na kogoś, kto decyduje się oznajmić coś ważnego.

Pokiwała głową i spojrzała na Kovařa.

– Max ma rację, nie powiedziałam całej prawdy żadnemu z was – przyznała. – Nie mogłam, zabrania nam tego nasz kodeks.

Ostrożnie wstała i Kovař odpiął zapinkę pochwy noża. Odsunął rękę, gdy Darja zaczęła się rozbierać. Nie rozumiał, o co chodzi, ale siedział bez ruchu aż do chwili, gdy stanęła przed nim naga do pasa.

Miała piękne, jędrne piersi, a kiedy lewą nieco uniosła, Kovař zobaczył, że ma pod nią wytatuowany niewielki podwójny krzyż. Wskazała na niego palcem.

– Żebyś mi wierzył – powiedziała i ubrała się.

JFK już zrozumiał, kim jest. Podobny krzyż widział wczoraj na przedstawieniu. Łowczyni była w rzeczywistości...

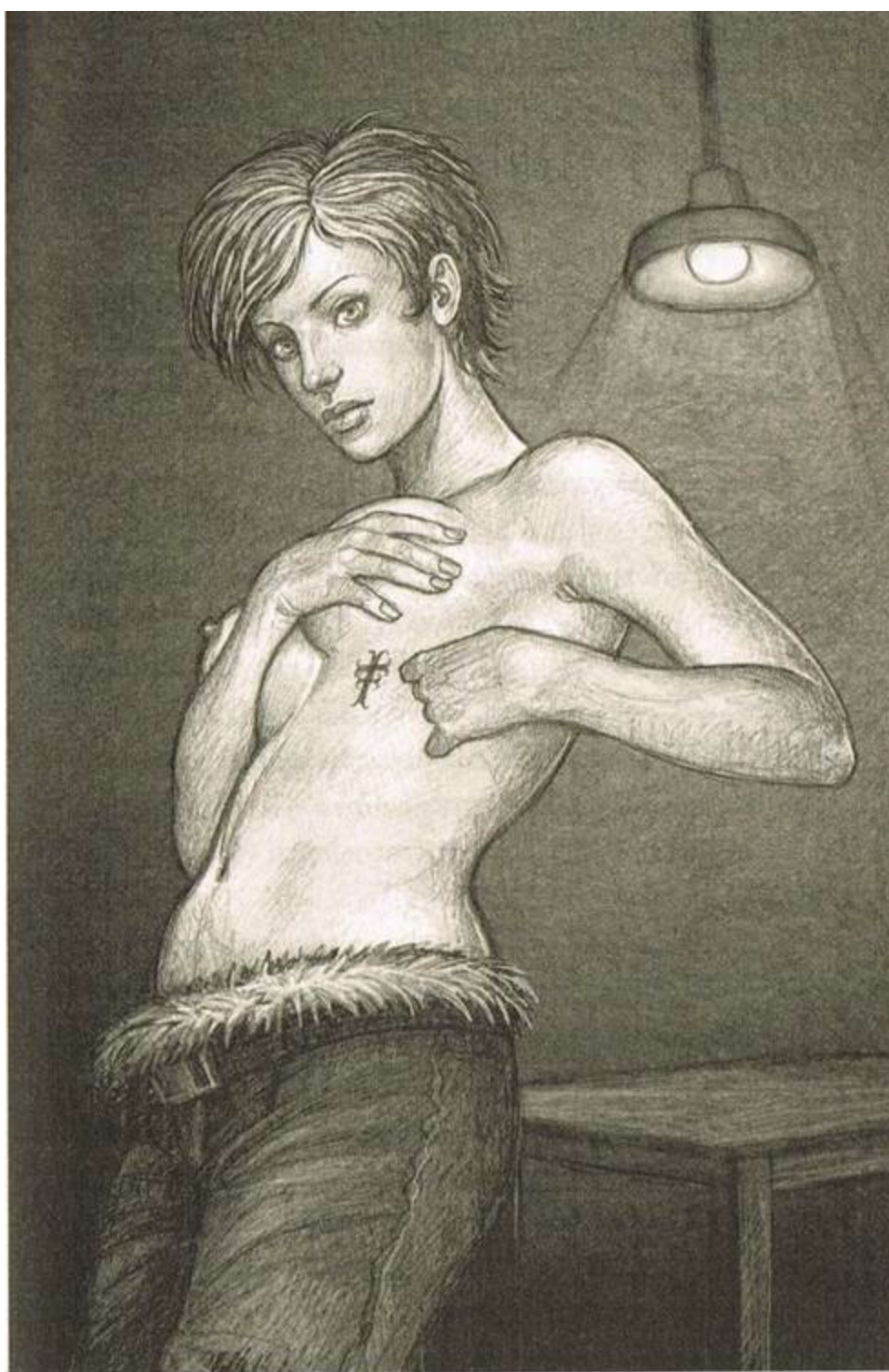
– Tak, jestem inkwizytorką – oznajmiła twardo, siadając znów obok Kovařa. – Wiem też, że w mieście ukrywa się niebezpieczny mutant. Niezwykle niebezpieczny...

Sięgnęła do pasa i Kovař znów zrobił się czujny. Zareagowała na to swoją zwykłą, rozbawioną miną.

– Uspokój się. Chcę ci tylko coś pokazać.

Wyjęła około dziesięciocentymetrowej długości metalowy cylinder, nacisnęła z jednej strony i w jednej chwili przed Kovařem rozłożył się dwuramienny krzyż.

– To mój gajger. Innych dowodów na to, że mówię prawdę, nie mam. – Pokręciła głową i złożyła krzyż z powrotem.



Kovař przytaknął. Krzyż był w rzeczywistości prymitywną wersją licznika Geigera–Miillera, służącego do pomiaru promieniowania radioaktywnego. Mutanci zrodzili się z tych, którzy przeżyli atomowe piekło, zwiększona radioaktywność była nieodłączną częścią ich istnienia. Klan inkwizytorów używał urządzenia do identyfikacji mutantów, często nieróżniących się wcale od normalnych ludzi.

– Zaufanie za zaufanie – powiedziała Darja i JFK przestraszył się, że odkryła jego prawdziwą tożsamość. – Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego poszedłeś po ten zapis beze mnie.

Z ulgą, której nie okazał, odpowiedział po prostu:

– Jeśli chcemy przeżyć, musimy być zawsze o krok przed nimi. Gdybym na ciebie czekał, straciłbym cały dzień.

Nie miała zadowolonej miny, ale w końcu uznała, że postąpił właściwie. Kovař opowiedział jej, jak doszedł do tego, gdzie Vořtrak ukrył zapis, opisał aferę łapówkarską w urzędzie finansowym i podmianę kaset u Kakosa.

– Czy możesz mi to puścić w całości? – Darja wskazała dyktafon.

Pokręcił głową i posłużył się przygotowaną wymówką.

– Niestety, Max mówi tam o sprawach, których mogą wysłuchać tylko nasi ludzie. Będziesz musiała uwierzyć w moją relację.

Skrzywiła się, jakby posmakowała cytryny, i niechętnie przytaknęła.

– Dobra, twoje na wierzchu, muszę to respektować. Czy możesz mi chociaż powiedzieć, czego się dowiedziałeś?

Kovař opowiedział jej praktycznie wszystko, opuścił tylko wzmianki o agencji. Nie miał potrzeby niczego ukrywać – sama mu przed chwilą potwierdziła słowa Vořtraka o mutancie stojącym za tą śmiertelną grą. Tym właśnie zyskała jego zaufanie, przynajmniej częściowo.

– Jedziemy dalej, partnerze? – zapytał Darję, wyciągając rękę.

Bez wahania uścisnęła mu dłoń i kiwnęła zdecydowanie głową.

JFK spojrział na zegarek.

– Mamy dość czasu, żeby się przygotować. Przyniosłaś to?

Darja wyciągnęła biały kaptur, używany przez łowców w polowaniach na otwartej przestrzeni i podała agentowi.

Przez następne dwie godziny planowali, kombinowali i ustalali dalsze posunięcia. Na dwie minuty przed dziesiątą wstali, ubrali się i wyszli.



Gdyby nie futra na ścianach, kasyno wyglądałoby tak jak każdy inny prowincjonalny dom gier w świecie Kovařa. Grano tu w ruletkę, Black Jacka, pokera i w kości, układano pasjansa, popijano i rozmawiano, czasem ktoś przegrany zaklął, czasem ktoś krzyknął z radości. Mimo nocnej pory był duży ruch, co bardzo odpowiadało Kovařowi i Darji.

Weszli każde z osobną, w odstępie około dwudziestu minut. Gdy Kovař się pojawił, łowczyni siedziała już przy stole do ruletki, z napięciem obserwując krążącą kulkę. Zauważyła JFK, ale nie pokazała po sobie, że go zna.

Kovař zamówił wódkę, pomału ją popijał i starał się sprawiać wrażenie, że wybiera stolik, przy którym zamierza usiąść. W rzeczywistości obserwował teren i rozmieszczenie

ochroniarzy. Dwóch stało u drzwi wejściowych, czterech w narożnikach pomieszczenia, potężny zabijaka ze złamanym nosem zastawiał swym wielkim ciałem wejście na schody wiodące na piętro. I oczywiście kilku innych siedziało przy swoim szefie Bruno Lebovsky'm.

Wysokiego brodacza z włosami do ramion dostrzegł, gdy tylko wszedł. Siedział z tyłu, w lewym rogu kasyna przy prywatnym stoliku i był już lekko pod gazem. Oczy mu błyszczały, ruchy miał niepewne i rozpromieniał się za każdą wygraną.

JFK zauważył, że działo się tak podejrzanie często.

Kasyno należało do Lebovsky'ego, chociaż zarejestrowane było na inną osobę, a boss chętnie w nim przebywał. Właściwie spędzał tu większość czasu, o ile nie zajmował się tym, czym mafioso zwykł był się zajmować.

Żeby nie zwracać na siebie uwagi, Kovař od czasu do czasu podchodził do któregoś ze stolików i grał kilka partii. Nie spuszczał jednak z oczu Lebovsky'ego i spostrzegł, że w momencie, w którym gra mu się znudziła, natychmiast pojawiły się obok dwie luksusowe panienki, które chichotały z jego dowcipów, pozwalały się obściskować i wyraźnie współzawodniczyły o to, którą wielki szef wybierze.

Kovař wstał, przeszedł do baru i zamówił jeszcze jedną wódkę. Zdawał sobie sprawę, że oczekiwana chwila się zbliża. Darja, która razem z Vořtrakiem przez kilka dni obserwowała Lebovsky'ego w kasynie, powiedziała mu, że zawsze po zakończeniu gry idzie na górę z którąś z dziewczyn.

JFK powoli podszedł do stolika z pokerem, usytuowanego w pobliżu wejścia na schody. Siedziała tam już Darja, trzymając w ręce trójkę ósemek, waleta pikowego i asa kier.

Lebovsky zaraz potem wstał i poszedł ku schodom. Za nim posłusznie dreptała dość banalna, jak na gust Kovařa, brunetka i jeden z ochroniarzy. Złamany nos zszedł im z drogi i za chwilę para razem ze strażnikiem zniknęła za jego rozłożystymi plecami.

Darja odczekała kilka minut, a później zaczęła z niezadowoleniem parskać nad rozdanyimi kartami. Po czym rzuciła je na stół, wychyliła swój trunek jednym haustem i zapyskowała coś złośliwego do krupiera.

Jeszcze przez chwilę zachowywała się w ten sposób, dopóki nie podszedł do niej jeden z pracowników kasyna. Zwrócił dziewczynie uwagę, żeby się uspokoiła, bo w przeciwnym razie zostanie usunięta z sali. Darja, nie przebierając w słowach, kazała mu się wypchać, na co mężczyzna chwycił ją pod ramię i podniósł z krzesła. Wyswobodziła się z uścisku, wycięła mu policzek i wybuchnęła pijackim śmiechem.

Jeden z najbliższych ochroniarzy ruszył na pomoc koledze, ale Darja była już w samym środku swego historycznego popisu. Incydent skupił uwagę wszystkich obecnych w

kasynie i JFK wykorzystał to, przesuwał się do wylotu schodów.

Złamany nos stał jak przymurowany, ale widać było, że złości go nieudolność kolegów, którzy nie mogli poradzić sobie z jedną pijaną kobietą. W końcu nie wytrzymał, złapał Darję pod ramiona i odprowadził do drzwi.

Teraz Kovař grał już *va banque*. Gdyby został dostrzeżony, jego plan runąłby niczym domek z kart. Wbiegł po stopniach kończących się pod drzwiami prywatnego apartamentu Lebovsky ego. Zanim stojący tam ochroniarz zdołał cokolwiek zrobić, otrzymał dwa silne ciosy w żołądek. Poprawka w podbródek posłała go bez zmysłów na podłogę.

Cicha akcja to udana akcja, Kovař przypomniał sobie nauki instruktora Malika. Nałożył kaptur i wszedł do apartamentu, z którego dobiegały odgłosy trudne do pomylenia z innymi.

Znalazł się w luksusowo wyposażonym pomieszczeniu, w którym dominowało ogromne łoże z baldachimem, na którym bujna brunetka uprawiała jazdę konną na Lebovsky'm. Była odwrócona do Kovařa tyłem, zasłaniając Brunowi widok na drzwi.

Agent zrobił dwa szybkie kroki, złapał dziwkę za tył głowy i popchnął na słupek baldachimu. Uderzyła w niego czołem i zamroczona spadła na podłogę. JFK z reguły nie bil kobiet, choć czasem sytuacja zmuszała go do tego.

Lebovsky nawet nie zdążył się poruszyć ani krzyknąć, gdy Kovař ukląkł mu na piersi, zakrył usta dłonią i wycelował czubkiem noża w oko.

– Jak leci, Lebovsky? – syknął mu w twarz. Starał się mówić z niemieckim akcentem.

Wystraszony brodacz zatrzepotał się pod nim.

– Jeszcze raz się poruszysz, a stracisz oko.

Władca podziemnego świata znieruchomiał.

– Teraz zabiorę rękę z twego pyska, a jeśli krzykniesz albo zrobisz coś, co mi się nie spodoba, to cię zabiję.

Mafioso zamrugał i Kovař dał mu odetchnąć.

– Czego chcesz...? – wychrypiał.

– Słyszałem, że lubisz gry, no to jedną dla ciebie przygotowałem...

Lebovsky spojrzał na niego z nienawiścią.

– Jeśli prawidłowo odpowiesz na moje pytania – ciągnął Kovař – spełni się twoje najgorętsze życzenie: zniknę jak para znad garnka i nigdy więcej o mnie nie usłyszysz.

– To ci się nie uda, Hilke...

– Pierwsze pytanie: co zrobiłeś z Maxmilianem Scharfem? Dobrze się namyśl, co powiedzieć.

Lebovsky, rozważywszy wszystkie za i przeciw, odpowiedział:

- Kazałem go usunąć.
- Dlaczego?
- Wcinał się w nie swoje sprawy.
- Gdzie teraz jest?

Mafioso milczał, a gdy nabrał powietrza, żeby odpowiedzieć, Kovař go powstrzymał.

– Dobrze się zastanów, zanim odpowiesz. Wiem, że jesteś tylko małym, nic nieznaczącym gnojkiem, który wykonuje dla kogoś brudną robotę.

– Prędzej zdechnę niż ci powiem.

– Nic innego ci więc nie pozostaje – oznajmił agent chłodno i zbliżył nóż do oka mafiosa. – Ale to będzie bolało, możesz mi wierzyć.

– Idź do diabła, Hilke – sapnął przestraszony Lebovsky. W tym samym momencie drzwi za Kovařem rozwarły się gwałtownie. No, w końcu, pomyślał JFK, wyskakując z łóżka.

Jeden z trzech mężczyzn, którzy wtargnęli do wnętrza, wystrzelił do niego z pistoletu z lejkową lufą, ale kula przeleciała obok.

– Brać go żywego – zawył Lebovsky i mężczyźni rzucili się na Kovařa.

JFK podbiegł do dużego okna, znajdującego się na wprost. Wybrał je jako drogę ucieczki jeszcze przed wejściem do kasyna.

Podrzucił haczyk do góry i szarpnął lewe skrzydło okna. Pierwszy z ochroniarzy runął powalony celnym ciosem, drugiego JFK zwałił z nóg kopniakiem z obrotu i rzucił się trzeciemu pod nogi. Ochroniarz przeleciał nad nim i uderzył w ścianę. Kovař otworzył drugą połówkę okna i wyskoczył w noc.

Spadł na ulicę oświetloną jedną tylko lampą, rozejrzał się. Z prawej strony nadchodził strażnik obchodzący budynek, a trzech ochroniarzy zdecydowało się naśladować godny Batmana skok Kovařa. JFK ruszył sprintem w jedynym wolnym kierunku, przebiegając przez skrzyżowanie ulic, i usłyszał, jak przez otwarte drzwi kasyna wysypują się kolejni goryle Lebovsky'ego.

Pogoń się rozpoczęła.



Darja stała na dachu budynku, z którego widziała kasyno jak na dłoni i modliła się do wszystkich bogów, o jakich tylko słyszała, żeby Nowotnemu się udało.

Właśnie z kasyna wyroiła się gromada ochroniarzy, którzy puścili się w pogoń za uciekinierem. Chyba ten wariat wie, co robi, pomyślała z nadzieją.

Przesunęła się w miejsce, skąd mogła lepiej widzieć tylne drzwi kasyna, krzywiąc się przy tym boleśnie. Podczas szamotaniny z ochroniarzami dostała kilka razy w twarz i sporo kuksańców i gdyby się im nie wyrwała i nie uciekła, mogłoby się to skończyć jeszcze gorzej. A tak posłali za nią tylko stek wyzwisk i wrócili do środka.

Z kasyna dobiegły głosy pełne rozdrażnienia i dezaprobaty. Po chwili na zewnątrz pojawili się pierwsi gracze, których chłopaki Lebovsky'ego wyprosili z lokalu.

Noc dobiegła swojej drugiej połowy, gdy usłyszała za sobą jakiś szelest. Błyskawicznie się odwróciła z nożem w ręce, ale to był tylko Hans ze zmęczonym, lecz równocześnie zadowolonym wyrazem twarzy.

Wcisnął się obok niej do wnęki w zburzonym murze i cicho odetchnął.

– Niezłą mają kondycję. – Ocenił sprawność fizyczną goniących go ochroniarzy i opowiedział Darji, jak wodził ich za sobą przez liczne ruiny i zakamarki, aż w końcu zniknął im z oczu. – A tu co się działo?

– Gości już wyrzucili, poza nimi nikt z budynku nie wyszedł.

Kovař przytaknął:

– Poczekaj na swoje psy gończe, dopiero potem wyjdzie. Wystraszyłem go tak, że ucieknie stamtąd jeszcze tej nocy.

Potem milczeli, wyczekiwali i obserwowali, jak ściągają do kasyna niefortunni łowcy. Po godzinie wszystkie światła w budynku pogasły. Po nocnym Praagu hulał tylko lodowaty wichur, wygrywający w ruinach wysokościowców melodię jak wirtuoz fletu.

Zdążyli porządnie zmarznąć, zanim otworzyły się tylne drzwi. Wyszedł z nich jakiś mężczyzna i natychmiast ruszył ku skrzyżowaniu ulic. Darja poruszyła się, ale Kovař ją zatrzymał.

– Spokojnie, to ochroniarz. Musimy jeszcze wytrzymać.

Po kilku minutach drzwi znów się otworzyły. Tym razem pojawił się w nich Bruno Lebovsky – miał tak charakterystyczny, kołyszący się krok, że o pomyłce nie mogło być mowy.



Zanim zniknął w ciemności po drugiej stronie ulicy, na dachu domu sąsiadującego z kasynem nie było już nikogo.

Miejsce poszukiwań artefaktów obudziło w Kovařu jakąś niezrozumiałą nostalgię.

Uwięzione w lodzie pomieszczenia, w których ludzie kiedyś przebywali, pracowali, bawili się i kochali, znów zostały odkryte. Piętro po piętrze ludzie przekopywali się przez zwały lodu, żeby dotrzeć do przedmiotów zastygłych w czasie. Jeden z największych

wieżowców w mieście przypominał martwe drzewo, stoczone przez niezliczoną liczbę owadów.

Przestrzeń rozbrzmiewająca za dnia dzwonieniem rozbijanego lodu, turkotaniem kopalnianych wózków, brzęczeniem łańcuchów prymitywnych podnośników i pokrzykiwaniem kopaczy, stała teraz cicha i pogrążona w półmroku.

Kovař i Darja ukrywali się w wejściu do jednego z szybów, wybiegających z dużego pomieszczenia, zapewne sali kinowej lub teatralnej albo basenu pływackiego. Mimo że w świetle sporadycznie rozmieszczonych lamp z trudem rozpoznawali kontury nieruchomych przedmiotów, to Lebovsky'ego znajdującego się pod nimi widzieli wyraźnie.

Mafioso nerwowo przechadzał się pod ścianą, na której w metalowych uchwytach wisiały kilofy, łopaty i łomy do rozbijania lodu.

Gdy śledzili Lebovsky'ego idącego ulicami Praagu, Darja domyśliła się, dokąd zmierza. Było to idealne miejsce na tego rodzaju spotkania – dwóch strażników w budce przy wejściu stanowiło jedyną ochronę obiektu. Mafiosa wpuścili bez żadnych trudności, nawet nie zamknęli za nim blaszanej bramy, tak że Kovař i Darja wśliznęli się do środka niepostrzeżenie.

Teraz oczekiwali na przybycie drugiego mężczyzny. Darja wskazała Kovařowi korytarz, wydrążony kilkadziesiąt metrów na lewo od nich. Znajdował się o jakieś pięć metrów nad podłogą, a wejście doń zapewniała drabinka sznurowa. To właśnie był szyb wynajęty przez Vostfaka, udającego poszukiwacza artefaktów.

Nagle rozległy się kroki szybko idącego człowieka. Kovař uważnie przyglądał się szarej sylwetce, wyłaniającej się z ciemności.

Lebovsky odwrócił się, wypatrując nadchodzącego. Cała jego postawa wskazywała na dobrze widoczną ulgę, kiedy stwierdził, że to człowiek, na którego czekał.

Przywódca klanu policyjnego Waltr Souček zatrzymał się krok przed nim.

– Mam nadzieję, że masz cholernie ważny powód, żeby mnie tu ściągnąć – zagrzmał na cały głos. Ale Lebovsky nie dał się zastraszyć.

– Niewiele brakowało, żeby mnie dziś sprzątnął, więc wyluzuj.

– Hilke? – rzucił Souček.

– Ten gnój wpadł wieczorem do kasyna i nie dość, że przerwał mi pieprzenie, to jeszcze groził.

– Czego chciał? – Szef policji nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– Pytał o Scharfa, a do tego wiedział, że usunąłem go na polecenie kogoś innego.

– Kurwa – wymamrotał Souček.

– Udało mu się zwiać, więc uznałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

Kovař odwrócił się do Darji i szepnął jej do ucha:

– Możesz go sprawdzić gajgerem?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Za daleko, nie ma takiego zasięgu.

Kovař wrócił do obserwacji obu mężczyzn. Coś mu nie pasowało.

– Zajmę się tym, Bruno – uspokajał Lebovsky'ego Souček. – Wykurzymy tego zasrańca z nory, a później...

Zamilkł nagle, jakby sobie uświadomił, że chciał powiedzieć za dużo.

– Dzień jeszcze się nie skończył, kolego – powiedział zamiast tego. – Już znam dokładnie czas, kiedy te obszczymurki chcą uderzyć.

– Kiedy? – zapytał mafioso, a Kovař pojął, że Souček dowiedział się o planowanym przewrocie.

– O zmroku bądź gotowy razem ze wszystkimi twoimi chłopakami. Trochę sobie postrzelamy.

– Dlaczego nie załatwisz ich już teraz? – zaproponował Lebovsky. – Nie chcę bez potrzeby tracić moich ludzi.

– To miasto potrzebuje nauczki, Bruno. – Głos Součka zabrzmiał jak pila łańcuchowa. – Dosadnej nauczki, żeby ludzie wiedzieli, kto tu jest szefem i na kim mogą polegać. Trzy klany zgnieciemy jak nic.

Kovař pomylił się co do zasięgu spisku. Na podstawie podsłuchanej u Budača rozmowy wywnioskował, że przeciw Součkowi powstaną wszystkie klany, jednak rzeczywistość była inna. Niektórzy przywódcy dali się zastraszyć, a innym obecny porządek odpowiadał.

Spojrzał na dół i zobaczył, że spotkanie dobiegło końca. Obaj rozmówcy zamienili kilka pożegnalnych frazesów i ruszyli ku wyjściu.

– Wiesz, o czym oni mówili? – zapytała Darja, gdy kroki obu mężczyzn ucichły.

Kovař był zdecydowany nie przyznawać się do tego, co wiedział. Miał pewien pomysł, lecz na wtajemniczenie współpracownicy miał jeszcze czas.

– Nie wiem, ale ktoś tu wyraźnie przygotowuje przewrót – powiedział tylko to, co było oczywiste.

Łowczyni i inkwizytorka w jednym prychnęła pogardliwie.

– O przewrocie mówi się tutaj od czasu, gdy w mieście rządzi Souček. Ale co z tego, wszyscy mają albo pełne portki, albo idą z nim ręką w rękę. Gdyby tak żył tata... – westchnęła.

Kovař zadrżał z zimna. Na rozmowy mogli znaleźć lepsze miejsce. Po cichu zeszli na

dół i ruszyli ku wyjściu.

Przechodzili przez ostatnie piętro i od drzwi dzieliło ich tylko kilka metrów, gdy przed nimi rozległ się jakiś hałas.

Zatrzymali się i sięgnęli po broń. Zaczęli się ostrożnie wycofywać.

W tym momencie pojawiły się wokół nich liczne cienie. Spoza filarów wyskoczyło chyba z dwadzieścia ciemnych sylwetek.

– Do tyłu! – ryknął Kovař i ruszył biegiem do wnętrza budynku.

Ramieniem odtrącił człowieka, który wynurzył się spoza jakiegoś rumowiska, a gdy usłyszał za sobą Darję, jeszcze przyśpieszył.

Goniły ich okrzyki ścigających i rozkazy Lebovskyego oraz Součka. Niewiele brakowało, a wleźliby wprost w pułapkę. Plan Kovař a już na wstępie wziął w łeb.

Wpadli do hali, prześladowcy deptali im po piętach. JFK odwrócił się i silnym ciosem rozbił nos pierwszemu z nich. Mężczyzna wpadł pomiędzy kompanów i chociaż na moment ich spowolnił.

Kovař przemyślał gorączkowo nad drogą ucieczki. Żałował, że nie zabrał miecza, który w akcji przeciw Lebovskyemu tylko by mu przeszkadzał.

Darja swoim mieczem właśnie posłała do piekła jednego policjanta. Najważniejsze to być cały czas w ruchu, przypomniał sobie Kovař. Zrobił unik przed świszczącym ostrzem i odbiegł od napastnika. Pojawiali się już pozostali, przebiegł więc przez halę, starając się mieć wokół siebie jak najwięcej wolnej przestrzeni.

Na szczęście Lebovsky i Souček chcieli dostać ich żywych, w przeciwnym razie wystarczyłyby dwa celne strzały i byłoby po wszystkim.

Kovař rzucił się na najbliższego przeciwnika, zablokował mu rękę z mieczem i cisnął nim w drugiego atakującego. Potem pobiegł, uchwycił łańcuch jednego z podnośników i odbił się od ściany nogami. Trzech gangsterów za nim zatrzymało się, lecz nim zdążyli znów się poruszyć, poprzewracał ich jak kręgle.

Darja wspięła się na platformę wiszącą kilka metrów nad nią. Udało jej się pozrzucać na dół wszystkich przeciwników, którzy gramolili się za nią, gdy jednemu cwaniakowi przyszło do głowy, że platformę można opuścić.

Dziewczyna zorientowała się, co się święci, i zeskoczyła tuż przed uderzeniem platformy o ziemię. Zrobiła szybki przewrót i wstając, dwukrotnie zatoczyła mieczem. Trysnęła krew, dwaj policjanci runęli na podłogę.

Darja szybko się rozejrzała i spostrzegła Nowotnego walczącego z przeważającymi siłami. Wykonywał zwinne uniki i odskoki, cały czas machając wokół siebie nożem. Pośliznął się na szynie kolejki i niewiele brakowało, by stracił równowagę.

– Hans, z drogi! – usłyszał za sobą i przetoczył się w bok.

W atakujących uderzył wózek z Darją na tylnym stopniu. W momencie zderzenia zeskoczyła i kilkoma cięciami zabiła powalonych mężczyzn.

JFK, jeszcze leżąc, podstawił nogę kolejnemu napastnikowi, który rzucił się ku Darji. Gangster przewrócił się, a gdy zaczął wstawać, Kovař skoczył na niego, znów obalił i jednym energicznym ruchem skręcił kark.

Darja, klucząc między zabitymi, odbiła się od zamocowanych w ścianie żelaznych kształtowników, wykonała bezbłędne salto i świsnęła mieczem. Głowa atakującego mężczyzny potoczyła się po podłodze. W chwili lądowania dziewczynie powinęła się jednak noga, na moment straciła równowagę. Ostrze martwego teraz przeciwnika otarło się o jej bok.

Odskoczyła, ale wprost na kolejnego napastnika. Rudy policjant zamachnął się mieczem, lecz Darja silnym kopniakiem wytrąciła mu broń z ręki. Stojąc do niego tyłem, silnie rzuciła głową za siebie, mężczyzna stęknął i rozluźnił chwyt.

Odwróciła się, przecięła mu gardło i skoczyła na drugiego, który schylał się po upuszczony miecz kompana. Złapała faceta za włosy, uderzeniem kolana wyłączyła z gry i rozejrzała się za Nowotnym.

JFK unieszkodliwił tymczasem kolejnego atakującego, ale pozostali zapędzili go pod ścianę. Ponad ich głowami widział rozwścieczonego Lebovsky'ego i Součka, jak wydawali rozkazy kolejnym wbiegającym do hali gangsterom.

Gdy oparł się plecami o żelazną przegrodę, spojrzał na przeciwników ze złym uśmiechem. Sięgnął za siebie i wyjął z uchwytu kilof. Nie była to broń, do której był przyzwyczajony, lecz okazała się bardzo skuteczna.

Przebił się do szybu Vostfaka i ryknął do Darji uciekającej przed napastnikami. Rzucała za siebie wszystkim, co jej wpadło w ręce, żeby zyskać trochę czasu.

Kovař odwrócił się, stojąc przed drabinką, i znów skoczył na przeciwników z zakrwawionym kilofem. Miał pewien plan, którego sukces zależał od tego, czy Voštrak był naprawdę znakomitym agentem, JFK oczyścił przestrzeń przed sobą i cisnął kilofem w bezzębną maskarę ścigającą Darję.

Broń, wirując, przeleciała obok biegnącej dziewczyny i zmieniła oblicze atakującego w krwawe dzieło impresjonistyczne.

– Na górę! – ryknął JFK, wskazując drabinkę.

Darja skoczyła i prędko zaczęła się wspinać. Kovař tuż za nią. Kopniakiem w twarz pozbył się śmiałka, który chciał go ściągnąć z drabinki. Nagle obok niego rozbił się o

ścianę duży kawał lodu.

JFK zerknął za siebie i zobaczył osiłka, który wyjął z wózka następną bryłę i rzucił ponownie. Wielki blok przeleciał nad Kovařem i trafił Darję w tył głowy.

Zamroczona dziewczyna spadła obok agenta, bezskutecznie próbującego ją złapać. Złapali ją natomiast przeciwnicy stojący pod drabinką. W podjęciu decyzji pomógł Kovařowi kolejny lodowy pocisk, który roztrzaskał się na tysiąc ostrych odłamków zaledwie metr od jego prawej ręki.

Po raz ostatni spojrzął na Darję niesioną w stronę obu szefów i jak najszybciej przedostał się do sztolni. Odciął drabinkę i zrzucił ją na dół wraz z wściekle wrzeszczącymi napastnikami, którzy wspinali się za nim.

Ostrożnie prześliznął się lodową sztolnią aż do miejsca, gdzie rozchodziła się na trzy komory, w których Vořtrak prowadził wykopki. Gdzie to jest, Max? – myślał intensywnie, badając komory. Przecież nie zapomnielibyś o czymś takim.

W ostatniej komorze przekonał się, że Vořtrak nie zapomniał. Każdy, kto samotnie operował na terytorium nieprzyjaciela, wiedział, że dobrze jest mieć przygotowaną drogę ucieczki wszędzie tam, gdzie się poruszał.

Kovař wyciągnął nóż, objechał nim zarys lodowego bloku nad głową i nacisnął. Poczuł ruch bryły. Nacisnął mocniej i blok zakrywający wyjście z komory spadł na ziemię.

Z hali dobiegło do niego brzęczenie łańcuchów, kiedy mafiosi i policjanci przesuwali ku Vořtrakowej sztolni platformą załadowniczą, JFK wydzwignął się na pierwszy żelazny stopień osadzony w ścianie tunelu i ruszył do góry.

Wspinał się tak długo, aż pionowy tunel zmienił się w poziomą sztolnię, a wtedy zaczął się nią czołgać. Wkrótce ciemność pojaśniała. Kovař, wytknąwszy głowę z otworu, stwierdził, że znalazł się prawie pod samym stropem centralnej hali. Spojrzął na dół i dostrzegł swoich prześladowców, czekających na właściwe ustawienie się windy. Poruszała się ona po szynach przebiegających zaledwie półtora metra pod Kovařem. Obok niej znajdował się podest serwisowy. JFK uśmiechnął się i podziękował Maxowi, że nie będzie musiał zjeżdżać po pokrytych lodem szynach.

Ukryty w ciemności, przesunął się na chwiejną ławeczkę. Trochę skrzypiała, ale dźwięk ginął w hałasie przesuwanej windy Kovař przeszedł po niej i znalazł kolejne dziury, podobne do tej, z której przed chwilą wylazł. Znów podziękował Maxowi, który wykorzystał kanały wentylacyjne do stworzenia idealnej drogi awaryjnej.

Zanim winda stanęła, JFK obiegł prawie cały obwód hali. Zatrzymał się i poczekał, aż obsadzona bandytami platforma ruszy w górę. Wreszcie dostał się do miejsca, pod którym znalazł wyjście z hali.

Schodzeniem po żelaznej drabince nie zawracał sobie głowy. Złapał się jej boku i po prostu zjechał aż do dołu. U podnóża ściany przycisnął się do drabinki plecami i przesunął do wyjścia. Przez chwilę nasłuchiwał, nie chcąc wpaść w ręce jakiegoś wartownikowi po tak emocjonującej eskapadzie.

Kilka minut później przebiegi przez parter, otworzył bramę i wybiegł na zewnątrz. Było tu tak samo zimno jak w środku.

Tymczasem jeden ze strażników szeleścił czymś wewnątrz budki, a drugi stał odwrócony tyłem do wejścia do podziemi. Kovař cicho wsunął się za niego i złapał za szyję. Trzymał ją w uścisku, aż do chwili gdy strażnik przestał się miotać. Położył gościa na ziemi, upewnił się, że oddycha, i zastukał do drzwi budki.

Strażnik wylazł na zewnątrz, mamrocząc z niezadowoleniem, i znalazł kolegę leżącego w śniegu bez ruchu.

Agent John Francis Kovař już w tym czasie pośpiesznie szedł przez miasto. Musiał dotrzeć do celu, zanim zacznie świtać.

ZBYT WIELU AGENTÓW



Kovař rozsiadł się wygodnie w fotelu Součka. Z nogami na biurku czekał aż szef policji wróci z nocnego spotkania. Czas oczekiwania skracał sobie, oglądając bogato zdobiony pistolet, który znalazł w jednej z szuflad.

Tak jak przypuszczał, znalezienie siedziby policji i dostanie się do środka było drobnostką. Większość funkcjonariuszy mających służbę przełożony zabrał ze sobą, a nowa zmiana jeszcze nie przyszła. Kovař umiejętnie uniknął kilku zaspanych policjantów snujących się bez celu po korytarzach i w ciągu dwudziestu minut stanął przed drzwiami gabinetu Součka.

Otwieranie masywnego zamka sprawiło mu trochę kłopotu, ale prymitywne zabezpieczenie uległo w końcu narzędziom schowanym w rękojeści noża agenta. W pokoju znalazł zapasowe klucze i zamknął za sobą drzwi. Przegląd gabinetu nie dostarczył żadnych rewelacyjnych odkryć, pozostawało więc tylko czekać.

JFK długo przemyślał nad tym, dokąd odprowadzono Darję. Wykluczył kasyno i policyjną dochodzeniówkę – Souček musiał zostać z dziewczyną sam, bo informacje, jakie zamierzał z niej wydobyć, nie były przeznaczone dla cudzych uszu.

Pozostawał jego gabinet na ostatnim piętrze budynku policyjnego – prywatność miał tu zapewnioną, a ochronę stanowiły trzy kondygnacje pełne uzbrojonych ludzi. Przynajmniej tak było zazwyczaj.

Kovař siedział z wyostrzonymi zmysłami, pozornie rozluźniony, ale gotowy do natychmiastowej reakcji.

Jego mózg pracował intensywnie. Rozważał w myślach to, co usłyszał w kopalni artefaktów, i szukał przyczyny dziwnego odczucia, że coś tu poważnie nie gra. Rozmyślał też o odkrytym spisku Korbmanna.

Gdy oczekiwanie wydało mu się zbyt długie, wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie. Rozglądał się za jakimś dowodem, drobiazgiem choćby, mogącym świadczyć o tym, że Souček jest mutantem. Z niższego piętra dobiegały odgłosy krzątania ludzi przygotowujących się do codziennej służby.

Coś jest nie w porządku, uświadomił sobie Kovař. Szef policji wciąż nie wracał. Gabinet wydawał się najwygodniejszym miejscem do przeprowadzenia przesłuchania, ale przecież JFK mógł się mylić.

Podszedł do okna zaopatrzonego w doskonałej jakości szyby i wyjrzał na zewnątrz. Jedna z głównych ulic nowego Praagu budziła się do życia – ludzie śpieszyli do swoich zajęć, nie mając pojęcia, że ten dzień nie będzie tak spokojny, jak się zapowiada.

JFK zaklął i wrócił do biurka – gdzieś tkwił błąd. Souček już dawno powinien się tu pojawić. Usiadł w fotelu ze zwieszoną głową. Jego uwagę zwrócił okruszek leżący na podłodze. Pochylił się i podniósł go.

W koniuszkach palców trzymał ziarnko zboża.

Jak mała grudka śniegu potrafi wywołać potężną lawinę, tak znalezisko wyzwoliło w głowie Kovařa burzę wspomnień, dedukcji i uwag. Chaotyczne początkowo myśli ustabilizowały się, tworząc jasny obraz wydarzeń kilku ostatnich dni. JFK już wiedział, że czeka w niewłaściwym miejscu na niewłaściwego człowieka.

Szybko wstał i ruszył ku drzwiom, zza których dobiegł niespodziewanie odgłos zbliżających się kroków. Znieruchomiał i przeładował pistolet. Brzęknęły klucze, szczęknął zamek i do wnętrza wkroczył Waltr Souček.



Zdumiony Souček wytrzeszczył oczy, czując na czole wylot lufy pistoletu.

Błyskawicznie targnął głową w bok i uderzył Kovařa w brzuch, drugą ręką wytrącając mu broń z dłoni. Zaskoczony agent zgiął się wpół, ale kolejne uderzenie pod brodę szybko go wyprostowało. Trzeci cios odrzucił Kovařa do tyłu, aż upadł, odbiwszy się od biurka.

Jak na swoje rozmiary, Souček poruszał się zwinnie jak kobra. Zanim JFK zdążył się podnieść, napastnik już był przy nim i wymierzył potężnego kopniaka. Kovař zdołał jednak odsunąć głowę i ciężki but przeleciał tuż obok ucha agenta, rozbijając czołową ściankę biurka.

JFK podbił nogę szefowi policji i zerwawszy się, rzucił na niego. Przez chwilę przetaczali się po podłodze. Policjant wykorzystywał swoją masę i w końcu udało mu się unieruchomić Kovařa pod sobą. Złapał agenta za lewą rękę i z rozmachem uderzył w szczękę.

– To twój koniec, Hilke – sapnął i uderzył powtórnie.

Kovař, walcząc z zamroczeniem, macał wolną ręką wokół siebie, aż wreszcie znalazł, czego szukał.

– Jak to jest, służyć mutantowi, zasrańcu? – warknął z wściekłością, żeby odwrócić uwagę Součka.

Oczy policjanta zabłysły, usta wykrzywił grymas złości. Zamierzał coś odpowiedzieć, ale Kovař miał już w dłoni kolbę pistoletu.

– Złóż ze mnie, grubasie – wycedził przez zaciśnięte zęby, wypychając Součkowi lufę pod brodę. – A jeśli czegoś spróbujesz, rozmażę twój mózg na suficie.

Policjant odkleił się od Kovařa, dopiero gdy ten mocniej docisnął lufę do jego podbródka.

JFK, cały czas trzymając przeciwnika na muszce, stanął wreszcie na nogi. Uspokoił oddech i skinął bronią:

– Odwróć się.

Souček prychnął pogardliwie.

– Doigrałeś się, Hilke. Nie wydostaniesz się stąd.

JFK skrzywił twarz w nieprzyjemnym grymasie.

– Ależ wydostanę się, zasrańcu. A ty mi w tym pomożesz. Po raz drugi mówię, odwróć się.

Souček, z trudem hamując wybuch wściekłości, posłuchał polecenia.

Gdy wyszli na korytarz – Souček, a za nim Kovař z pistoletem przytkniętym do potylicy zakładnika – na piętro wbiegali pierwsi policjanci, zaniepokojeni odgłosami bójki.

– Jeśli zrobicie coś głupiego – ostrzegł ich Kovař – możecie sobie poszukać innego szefa. Rzućcie broń.

Zatrzymali się i zastygli w bezruchu.

– Jeśli nie chcesz zdechnąć, powinienes ich zachęcić – zasyczał Kovař Součkowi do ucha.

Na jednoznaczny gest szefa policjanci położyli pistolety na podłogę.

– Idźcie pomału przed nami – powiedział JFK. – Jeden ruch, który mi się nie spodoba, a strzelę.

Powoli zeszli schodami aż na parter. Kovař zwracał uwagę na to, żeby zawsze mieć za plecami ścianę i dobry widok przed sobą. Policjanci porzucali pracę, odkładali broń i przypatrywali mu się z nienawiścią.

Z danych statystycznych wynika, że w podobnej sytuacji zawsze znajdzie się co najmniej jeden idiota, który zechce odegrać rolę bohatera. Na szczęście taki człowiek pojawił się dopiero w głównym holu.

Gdy ostrożnie zeszli z ostatniego stopnia, Kovař błyskawicznie sprawdził przestrzeń za sobą i krzyknął do stłoczonych funkcjonariuszy:

– Wszyscy na lewo, pod ścianę, ale już.

Poszli powoli i niechętnie, przesuwając się ku miejscu, w którym stał stolik policjanta pełniącego służbę u drzwi wejściowych.

– Już nie żyjesz, Hilke – zachrypiał Souček, ale na więcej sobie nie pozwolił.

– Obawiam się, że masz rację – odparł Kovař. – Hilke raczej jest martwy.

Zostawił go, zaskoczonego odpowiedzią, a strażnikowi siedzącemu u drzwi nakazał:

– Połóż broń na stole i idź do wejścia.

Chudy chłopina z orlim nosem niechętnie odłożył obuszek, nóż oraz pistolet i powoli ruszył ku drzwiom.

– Pośpiesz się! – rzucił Kovař, szturchając Součka lufą. Zaczęli się przesuwać, przy czym JFK zachowywał szczególną ostrożność. Nadchodziła najniebezpieczniejsza część jego ucieczki, bo wszyscy zdawali sobie sprawę, że teraz jest ostatnia szansa odwrócenia sytuacji na swoją korzyść.

Metalowe drzwi rozwarły się i do holu wpadł zimny podmuch. W tym momencie Kovař spostrzegł, że jeden z policjantów, do którego stał teraz bokiem, machnął ręką.

Popchnął Součka i odskoczył. Szef policji nie utrzymał równowagi i upadł na podłogę. Rzucony nóż odbił się od ściany obok Kovařa. JFK nacisnął spust.

Huk wystrzału wstrząsnął korytarzem i wszyscy policjanci wykonali przepisowe „padnij”. Oszalały ze złości Souček wykrzykiwał rozkazy. Kovař odrzucił pistolet i wykorzystując powstały chaos, skoczył ku drzwiom.

Przeleciał przez nie razem z chudzielcem, który próbował go zatrzymać.

Upadli na zdeптany śnieg, pomiędzy przechodniów. Ozwały się okrzyki przest్రachu, ale Kovař, nie czekając, poderwał się, przeskoczył przez leżącego policjanta i wmieszał się w tłum.

Z budynku policji wybiegło ze trzydziestu rozjuszonych funkcjonariuszy, lecz Souček zatrzymał ich jednym rozkazem.

Rozważył wszystkie za i przeciw, dochodząc do wniosku, że jego podwładni powinni raczej przygotować się do spacyfikowania szykującego się przewrotu, zaś tego szpiega, czy to był Hilke, czy też nie, wkrótce i tak znów napotka.



Kovař szybko wszedł do sklepu Korbmanna i zamknął za sobą drzwi. Handlowiec siedział za ladą. Kiedy rozpoznał Kovařa, na jego pełnej napięcia twarzy pojawił się wyraz ulgi.

JFK miał wprawdzie ochotę ruszyć natychmiast na poszukiwanie Darji, ale przymusił się do działania racjonalnego. I dlatego zjawił się u Korbmanna. Stracił godzinę, klucząc po mieście, żeby uzyskać pewność, że nikt za nim nie trafi do nieoficjalnego sztabu powstańców.

– Co się dzieje, herr Nowotny? – zapytał Korbmann, przyglądając się uważnie twarzy Johna pokrytej siniakami i szramami. – Wygląda pan jeszcze gorzej niż przedtem – dorzucił, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Muszę z panem pomówić w cztery oczy. Teraz.

Korbmann wahał się przez chwilę, w końcu zawołał Lindego, żeby go zastąpił w sklepie.

Na piętrze, w pomieszczeniu, w którym Kovař spędził jedną noc, usiedli przy stole. Agent zauważył, że handlowiec ma u pasa pistolet w kaburze.

– Słucham pana – zachęcił Korbmann, patrząc Kovařowi w oczy. W jego wzroku ciekawość mieszała się z obawą.

– Wasz spisek został odkryty. – Kovař zaczął prosto z mostu. – Souček dokładnie wie, kiedy zamierzacie zaatakować.

Korbmann zmusił się do uśmiechu pełnego niezrozumienia.

– Nie wiem, o czym pan mówi, herr Nowotny. Chyba...

– Wie pan bardzo dobrze – przerwał mu Kovař. – Nie ma sensu grać w ciuciubabkę. Nie teraz. Wiem, że chcecie usunąć Součka i przekazać z powrotem władzę w ręce rady klanów.

JFK zauważył, że Korbmann ostrożnie przesuwając ręką w kierunku pistoletu.

– Jestem po waszej stronie, Adamie. – Pokręcił głową. – Niech pan nie robi niczego, czego by pan potem żałował.

Handlowiec znieruchomiał i położył ręce na stole. Spojrzał Kovařowi prosto w oczy.

– Niech pan opowiada – wycedził przez zęby, czujny i gotowy do działania.

JFK poinformował go najpierw o zasłyszanej rozmowie z Budačem.

– Musi mi pan uwierzyć – poprosił. – Gdybym był szpiegiem, już dawno bym was zdradził.

Korbmann przytaknął, choć nadal miał podejrzliwy wyraz twarzy. Kovař milczał, chciał mu dać czas do namysłu. Po chwili Korbmann zapytał:

– W jaki sposób zwyczajny kowal mógł uzyskać informację, że spisek został wykryty? Znowu zamilkł, a potem dodał:

– Kim pan jest, panie Nowotny? Kim pan w rzeczywistości jest?

JFK mógł pozyskać zaufanie Korbmanna tylko w jeden sposób: powiedzieć prawdę. Jeśli miał komuś wierzyć, to właśnie temu człowiekowi, wyglądającemu teraz na jeszcze bardziej zmęczonego niż przedtem.

– Nazywam się John Francis Kovař – zaczął – i nie pochodzę z tego świata.

– Kiedy Korbmann nie zareagował, wyjaśnił mu wszystko, o agencji i jej roli, mówiąc tylko to, co było niezbędne. Opowiedział o zaginionym agencie, który podawał się za handlarza artefaktami Maxa Scharfa, a w rzeczywistości szukał przyczyn zakłóceń pola hiperprzestrzennego lub ich sprawcy. Opisał mu swoją wizytę w sklepie Voštraka, walkę z ludźmi Lebovsky'ego i spotkanie z Darją. Mówiąc o odnalezieniu zapisu, zamilkł na chwilę. Mam ten zapis przy sobie. Chętnie go panu odtworzę.

Korbmann nie dawał po sobie znać żadnych emocji, skinął tylko głową. Rękę znów trzymał pod stołem w pobliżu pistoletu.

Kovař wstał, żeby jego dłonie były dobrze widoczne, i ostrożnie wyjął dyktafon. Postawił na stole, przewinał taśmę do początku i włączył odtwarzanie.

Korbmann słuchał uważnie, a JFK zorientował się, że mimowolnie przytaknął, słysząc i rozpoznając głos Maxmilian Scharfa. Nagranie skończyło się i Kovař wyłączył urządzenie.

– Darję Messner znam bardzo dobrze – rzekł Korbmann. – Zawsze stała po naszej stronie, nie mogę sobie wyobrazić, że...

– Jest inkwizytorką, Adamie. – Kovař wykorzystał moment milczenia Korbmann. – Sama mi o tym powiedziała. Ma tatuaż i gajgera. Nie wiedział pan o tym?

Handlowiec pokręcił głową.

– Inkwizytorzy to klan pracujący w ukryciu, herr Kovař. – Pierwszy raz wymówił prawdziwe nazwisko Johna, gdy zrozumiał, że przedtem pomylił je z nazwą zawodu. – Oprócz tego wydawało mi się, że mutanci już nie istnieją – ciągnął. – Od wielu lat nie słyszałem o pojawieniu się żadnego.

Kovař nie naciskał, pozwalając mężczyźnie samemu ocenić wagę informacji.

– A więc Darja wiedziała o mutancie i poszukiwała go. To jest ta gra, o której mówił pana kolega?

JFK przytaknął.

– Poszedłem z Darją do kasyna Lebovsky'ego i spowodowaliśmy, że udał się na spotkanie ze swoim panem...

Handlowiec milczał, ale patrzył na Kovařa pytającym wzrokiem.

– Lebovsky spotkał się z Waltrem Součkem – powiedział Kovař. Później opisał mu walkę w kopalni artefaktów, podczas której Darja została uprowadzona, swoją ucieczkę i dramatyczną wizytę w budynku policji.

– To Souček jest tym mutantem? – zapytał Korbmann.

– Też tak sądziłem, ale coś mi nie pasowało. – JFK przypomniał sobie przebieg rozmowy w kopalni. – Gdy Lebovsky z nim rozmawiał, nie czuć było w jego głosie

respektu, poważania, czegokolwiek, co świadczyłoby o tym, że to jego przełożony. Gadali jak równorzędni partnerzy.

– Czyli musi być jeszcze ktoś inny.

– Oczywiście. – Kovař poczuł podniecenie. Odpowiedź na kolejne pytanie mogła potwierdzić jego domniemania. – Jacy ludzie wiedzieli o tym, że przewrót zaplanowany został na dzisiejszy wieczór?

Z wyrazu twarzy Korbmanna wywnioskował, że ten domyśla się, o co agentowi chodzi.

– Tylko czterech przywódców klanów i ja. Naszym ludziom chcieliśmy powiedzieć bezpośrednio przed akcją, żeby wykluczyć możliwość wpadki – odparł cierpko, uświadamiając sobie, że plan się nie udał.

– Czy nie mógł was ktoś podsłuchać?

– Spotykaliśmy się z dala od miasta, na otwartej przestrzeni, gdzie oprócz nas nie było nikogo. – Handlowiec odrzucił taką możliwość.

Kovař pokiwał głową.

– Macie pośród was kreta, Adamie, i ja wiem, kto to jest – powiedział i otworzył dłoń, w której leżało małe ziarnko zboża. – Znalazłem je w gabinecie Součka. Musiało mu się przyczepić do buta, a gdy śnieg stopniał, zostało na podłodze.

– Viktor... – szepnął Korbmann z niedowierzaniem. – Viktor Benedikt.

– Przywódca klanu rolniczego, o ile się nie mylę – dodał JFK.

Korbmann otrząsnął się z niewesołych myśli i westchnął. Doszedł do takich samych wniosków co JFK.

– Nie wierzę w przypadki, Adamie – powiedział Kovař. – Benedikt jest nie tylko zdrajcą, ale również mutantem, którego poszukujemy.

Handlowiec wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

– Musicie zaatakować bezzwłocznie! – powiedział zdecydowanie JFK. – Nie będą na to przygotowani. Jeśli ich wyprzedzicie, unikniecie przelewu krwi, którego tak pragnie Souček.

Korbmann przystanął pod oknem, opierając się o parapet.

– Dlaczego on, do kurwy nędzy, chce, żeby doszło do masakry? Przecież chyba wie, że zagroziłoby to egzystencji całego społeczeństwa.

Kovař uśmiechnął się smutno.

– Nie udało się was sterroryzować. Kazał zabić ojca Darji, ale przywódcy klanów nie dali się zastraszyć i posłali po pana. Wszystkich ich usunąć nie może, byłoby to zbyt podejrzane. A on dobrze wie, co robi...

– Gdy zwycięży – wszedł mu w słowo Korbmann – okrzyknie nas zdrajcami, a powaleni

na kolana mieszkańcy będą jeść Součkowi z ręki.

JFK przytaknął.

– Jeśli myśleliście, że wiecie, jak wygląda jedynowładztwo, to dopiero teraz poznalibyście jego prawdziwe oblicze.

Kovař spojrział na zegarek. Czas pędził niczym karawana po śnieżnym pustkowiu.

– Zwołajcie ludzi i atakujcie natychmiast. Uratujcie to miasto – powiedział z naciskiem.

Korbmann skrzyżował ręce na piersi i przenikliwie wpił się wzrokiem w agenta.

– A co, jeśli to tylko sztuczka, która ma nas wpędzić w pułapkę?

– Dobrze wiesz, że to nie żadna sztuczka. – JFK przeszedł na „ty”, patrząc Korbmannowi prosto w oczy. – Po co Souček robiłby takie kombinacje? Po co wprowadzałby mnie i wymyślał opowieść o agencji, która musi ci się wydawać bredzeniem szaleńca? Gdybym był zdrajcą, już tysiąc razy mógłbym cię zabić.

Korbmann usiadł z powrotem przy stole.

– Wierzę ci – powiedział, a Kovař skinął głową.

Nawet jeśli Korbmann miał jakieś resztki wątpliwości, to instynktem właściwym człowiekowi, który całe życie tańczy na cienkiej linii, potrafił odróżnić prawdę od fałszu.

– Ale jeśli zaatakujemy natychmiast, łowcy nie zdążą przyznać do miasta kudłaczy – zauważył wyenneński specjalista od przewrotów, puczów i rebelii wszystkich rodzajów.

– Na początku będziecie się musieli obyć bez nich. Użyjcie przewagi wynikającej z pierwszego uderzenia, wykorzystajcie ją – poradził mu JFK. – Oczywiście, trzeba posłać do łowców wiadomość, że powinni się pośpieszyć. Nigdy nie zaszkodzi mieć pod ręką rozłoszczonego mastodonta.

Kovař objaśnił Korbmannowi swój plan, który handlowiec zaakceptował. Jego samego czekało niełatwe zadanie: przekonać przywódców klanów, że należy działać bezzwłocznie. Urowadzenie przez nieprzyjaciół bratanicy jednego z nich mogło być w tym przypadku bardzo pomocne.

Kilka minut później JFK wyszedł ze sklepu z artefaktami i szybko ruszył ulicami Praagu. Nie chciał przyjść za późno.

Podobnie jak Helmut Linde, który podsłuchał pod drzwiami całą rozmowę. Teraz szedł szybko w przeciwnym kierunku niż Kovař, żeby zanieść swoim kompanom wiadomość, że zdobycz jest w zasięgu ręki.



W siedzibie klanu rolniczego dzień przebiegał z pozoru tak samo jak każdy inny.

Na wszystkich piętrach obu najwyższych domów Praagu było pełno ludzi. Na dachach rolnicy okopywali zagony, nawilżali rośliny, przycinali krzewy, nawozili glebę i usuwali śnieg z górnych części szklarni. Na górnych piętrach robotnicy sortowali zebrane produkty, myli je i układali. Pracujący jeszcze niżej zapisywali zyski i poniesione nakłady, prowadzili księgowość gospodarstwa. Handlowcy, siedzący najniżej, negocjowali kontrakty, prowadzili uzgodnienia z dostawcami i odbiorcami oraz załatwiali sprawunki w mieście.

Za dwa dni wyruszała powrotna karawana do Wyenny i dlatego konieczne było przygotowanie wszystkiego na czas.

Na korytarzach też roiło się od ludzi, kierownicy kontrolowali pracę podwładnych, w biurach panował rozgwar prowadzonych rozmów handlowych, wszędzie przebiegali gońcy z zamówieniami, wiadomościami i umowami.

Ale uważny obserwator mógłby dostrzec na niektórych twarzach wyraz napięcia, niemający uzasadnienia w realizowanych aktualnie czynnościach. Ci ludzie oczekiwali na zmierzch, żeby, wykonując rozkazy swego przywódcy, w stosownym czasie przeciwstawić się grożącemu buntowi.

Specjalnie przeszkoleni, uzbrojeni ochroniarze, pełniący na co dzień funkcje służb bezpieczeństwa klanu, zajmowali zwyczajowe pozycje, gotowi jednak szybko uformować się na wzór półwojskowego oddziału i niezwłocznie interweniować.

Na samej górze, pośród pola zmutowanego jęczmienia, przechadzali się dwaj mężczyźni. Nikt im nie przeszkadzał, pracujący ludzie znajdowali się po drugiej stronie łąki.

Po twarzy Waltra Součka ściekały krople potu i jak zwykle nie tylko wysoka temperatura rozgrzanej szklarni stała się tego przyczyną. Sporo tych kropli było zimnych, nasiąkniętych strachem, jaki policjant odczuwał zawsze w pobliżu swego pana.

– Wygląda na to, że nasz wróg jest zdolniejszy niż myślałem – powiedział Viktor Benedikt, przeciągając dłonią po szorstkich wąsach jęczmiennych kłosów.

Souček wyczuwał napięcie w jego głosie, jakby ten szpicel był czymś więcej niż zwykłym zagrożeniem. Odgadywał, że spotkanie tego człowieka z istotą ukrywającą się w ciele Benedikta zapewne zmieni wiele rzeczy. Być może także i jego los. Właściwie najbardziej sobie życzył, żeby tego przeklętego mutantą pochłonęło piekło.

– Myślał, że przyprowadzę ze sobą dziewczynę, ale potem starał się jak najszybciej uciec – odezwał się, aby odegnać niebezpieczne myśli. – O nic mnie nie pytał.

Na ustach Viktora pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

– Przypuszczała, że nic mu nie powiesz. – Spojrzał groźnie na Součka. – Zresztą nie

potrzebował o nic cię pytać.

Souček milczał. Już nie raz przekonał się, że zbytnia gadatliwość nie popłaca.

– Nie wiem, jakim sposobem odkrył moje istnienie, ale wie, że swoją towarzyszkę znajdzie właśnie tutaj – powiedział Benedikt głośno, a w duchu dodał: nie tylko ją. – A ja będę na niego czekał – oznajmił złowieszczo i odwrócił się do Součka. – Wracaj do budynku policji, przygotuj ludzi. O zmroku na miasto spadnie druga apokalipsa. A my będziemy jej jeźdźcami.

Policjant kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Trochę było mu żal, że to nie on policzy się z tym bękartem, ale z drugiej strony nie ominię go zabijanie, na które już z góry się cieszył.

Mutant w postaci Viktora Benedikta przechadzał się nadal i wdychał zapach dojrzewającego jęczmienia. Wyobrażał sobie, że świat, do którego się przedostanie, będzie właśnie taki. Ciepły i zasobny, wolny od wiecznej zimy, a przede wszystkim niewiedzący o tym, że zyskał nowego obywatela.

Benedikt podszedł do skraju dachu i starł wilgotną mgłę ze szklanej ściany. Drugą dawkę materii uzyskanej przez Oetkera zniósł o wiele lepiej niż poprzednią. Przypuszczał, że przejście cudzoziemca i tak nie będzie łatwe, lecz już nie uważał tego za niemożliwe. Substancja przeniknęła do jego genów i teraz wyraźnie odczuwał zew tego innego świata.

Medytował jeszcze przez chwilę, żeby wyciszyć niepokój spowodowany tym, że jego prześladowcy są bliżej niż się spodziewał. Chciał pozbyć się tych myśli i cieszyć się życiodajnym ciepłem słońca, żeby być jak najlepiej przygotowanym na spotkanie z nieprzyjacielem.

Ale przedtem sprawię sobie jedną małą przyjemność, postanowił. Pójdę do pracowni i zabiję tę dziwkę.



Podczas gdy rzekomy przywódca klanu przygotowywał się do walki, w budynku pod nim panował codzienny ruch.

Do starszego wiekiem strażnika, pilnującego wstępu do budynku, zgłosił się kurier. Pod pachą niósł typowe nieprzemakalne okładki z wyprawionej skóry. Okazał pieczęć klanu i strażnik wpuścił go do środka.

Goniec przepchnął się przez gromadę ludzi na schodach i szybko powędrował na górę. Przesyłka musiała być ważna, bo ani na chwilę nie przystanął na pogawędkę z kolegami, których spotykał po drodze. Nie przystanął nawet wtedy, gdy naprzeciw niego pojawił się szef policji Waltr Souček. Zszedł mu z drogi, przemknął obok niego i kontynuował

wspinaczkę po stopniach.

Przeszedł przez dział handlowy, zajmujący pięć kondygnacji, a przy wejściu do następnego działu został zatrzymany przez kolejnego strażnika. Osilek o twarzy buldoga sprawdził nazwisko odbiorcy i skinieniem wskazał gońcowi kierunek. Przesyłka przeznaczona była dla kierownika nadzorującego sortowanie płodów rolnych – kurier miał jeszcze do pokonania dwadzieścia pięter.



Norbert Frengl był jednym z wtajemniczonych, którzy wiedzieli, co się wydarzy za kilka godzin. Służył jako podoficer w specjalnym komando Benedikta, był również jego zaufanym ochroniarzem. Miał nieskomplikowane zadanie: strzec prywatności swego pana.

Stał przed wejściem do apartamentu Benedikta, na rozstawionych nogach, z rękami założonymi do tyłu, uosobienie idealnego strażnika. Nie był specjalnie bystry, ale wyczuwał, że wizyta szefa policji nie była częścią planu i być może nie wszystko idzie tak gładko jak zakładano.

Jakby na potwierdzenie jego obaw, za oknem usłyszał narastający hałas, w którym dało się rozróżnić huk wystrzałów, ryk rozwścieczonego tłumu i pełne przestachu krzyki.

Frengl przez dwie sekundy rozważał, czy powinien opuścić swoje stanowisko, lecz nie mógł się zdecydować. Po kilku kolejnych sekundach ciekawość zwyciężyła. Dla pewności sprawdził schody, cicho podbiegł do okna i wyjrzał.

Z wysokości dwudziestego szóstego piętra dostrzegł mnóstwo ludzi na ulicy. W kilku miejscach strzelano, toczyły się już pierwsze potyczki, a co gorsza – uzbrojony tłum zbliżał się do siedziby klanu rolniczego.

Frengl uświadomił sobie, że coś musiało się straszliwie popieprzyć. Terrorysty mieli wystąpić przeciw władzy Součka dopiero o zmroku. Widocznie zmienili plany, co Frengla całkiem irracjonalnie podnieciło. Odszedł od okna, żeby poinformować swego pana, i nagle usłyszał zbliżające się kroki.

Pod drzwi apartamentu Benedikta dotarł właśnie zdyszany goniec.

– Niosę... niosę... – oddychał ciężko, zgięty wpół – wiadomość dla pana Benedikta.

Frengl z niecierpliwością wyciągnął rękę.

– Ja mu to przekażę, a ty spadaj stąd.

Kurier wyprostował się i głęboko odetchnął. Dwadzieścia sześć pięter to niemało.

– To przesyłka przeznaczona do rąk własnych – oznajmił zdecydowanie.

– A ja jestem prawą ręką pana Benedikta – skontrował Frengl. – Więc możesz mi ją dać.

Goniec pokiwał głową i podał mu okładki. W momencie kiedy strażnik je schwycił, posłaniec zrobił krok do przodu i z całej siły uderzył go w twarz. Cios rzucił Fren gla na ścianę, po której ochroniarz osunął się bez przytomności na podłogę.

John Francis Kovař dobył noża i wszedł do jaskini mutanta.

Przed sobą zobaczył kilka stopni, a za nimi korytarz zaopatrzony w pojedyncze drzwi po obu stronach.

JFK poczekał, aż oddech wyrówna mu się całkowicie. Podziwiał kondycję tutejszych kurierów, doprawdy nie miałyby ochoty biegać po tych piętrach kilka razy dziennie. Przynajmniej ten biedak, któremu odebrał przesyłkę, mógł trochę odpocząć. Ponieważ leżał związany w jednym z zamieszkałych domów w pobliżu, miał szansę przeżyć również piekło, które rozpętało się w mieście.

O ile oczywiście nie okaże się wariatem i nie uwolni się z więzów.

Kovař wymruczał „Entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek” i wyszły mu drzwi po prawej. Cicho zbliżył się do nich, stwierdził, że nie są zaryglowane i wśliznął się do środka.

Znalazł się w zadziwiającej kombinacji laboratorium i prosektorium. W zimnym powietrzu wyczuł zapach krwi, formaldehydu i rozkładającego się mięsa. Na metalowym stole usytuowanym pośrodku leżały zmasakrowane zwłoki człowieka. Gdyby Kovař nie wiedział, o kogo chodzi, na pewno by w nich nie rozpoznał Maxmilian Voštraka.

Agent miał długą ranę, ciągnącą się od podbrzusza aż do mostka. Jej brzegi były niefachowo zszyte grubym ścięciem. O wiele gorszy widok stanowiła twarz, na której zastygł wyraz bezbrzeżnej boleści i grozy. Ukoronowaniem dzieła szalonego mistrza był poszarpany otwór wielkości pięści w miejscu, w którym powinno znajdować się czoło. Coś, co go zabiło, musiało mieć masę ciężkiego młota.

Hałas, jaki odezwał się po drugiej stronie laboratorium, wyrwał Kovařa z niewesołych myśli. Ostrożnie ruszył ku jego źródłu. Obszedł bogaty zestaw szkła laboratoryjnego i pipet, umieszczony obok stołu prosektoryjnego, i dostrzegł otwarte drzwi do pomieszczenia obok.

Właśnie wychodził z nich garbaty człowieczek. Ze wzrokiem wbitym w papiery, mamrotał coś pod nosem, a Kovařa zauważył dopiero wtedy, gdy na niego wpadł.

JFK złapał mężczyznę za szyję i odniósł do małego pokoiku za laboratorium. Garbus wił się jak piskorz, ale Kovař związał go, zakneblował i ułożył na leżance.

– Pogadam z tobą później – obiecał, poklepując człowieka po policzku.

Wrócił do głównego pomieszczenia, mijając stół ze szczątkami Yostraka, zatrzymał się

jeszcze na chwilę.

Rozpoznając wyposażenie znajdujące się wkoło, zdołał odgadnąć zamiary mutanta: wydobyć z ciała agenta resztki plazmy hiperprzestrzennej, która – jak mu kiedyś wyjaśnił von Wonder – odkłada się w organizmie podczas każdego przejścia pomiędzy światami. Uzyskaną plazmę zamierzał połączyć potem ze swymi zdolnościami do teleportacji. Wtedy nic już nie powstrzymałoby go przed przejściem do świata Kovařa.

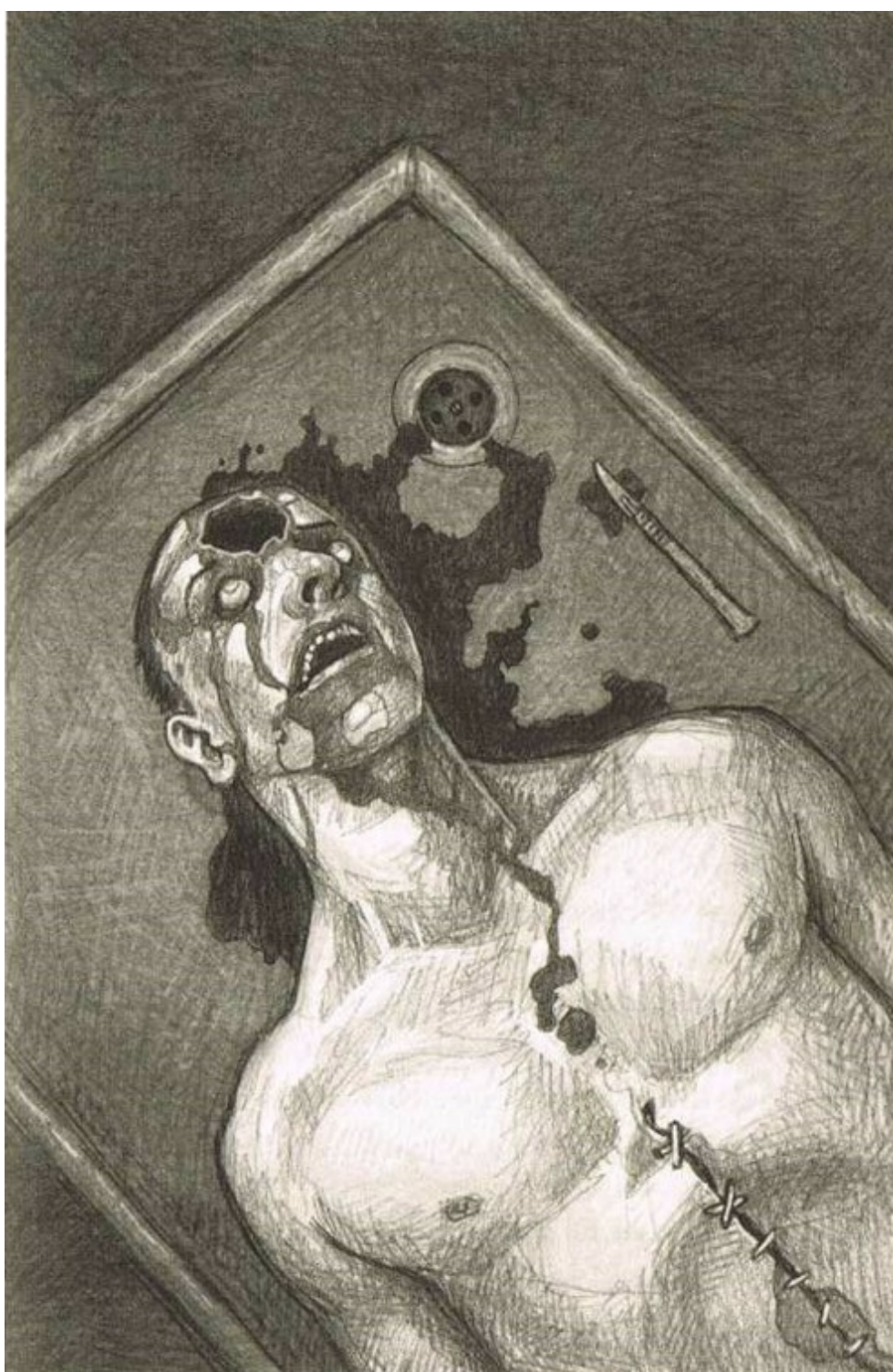
Patrząc na ciało nieszczęśnika, JFK zazgrzytał zębami. Postępując zgodnie z zaleceniami Wolfganga, powinien zabrać zwłoki Maxa i zniknąć wraz z nimi. Gdyby mu się to udało, mutant zostałby na zawsze uwięziony w tym świecie.

John Francis Kovař miał wprawdzie rozliczne wady, ale pozostawienie przyjaciół w potrzebie nie leżało w jego charakterze. Opuścił laboratorium, przeszedł na przeciwległą stronę korytarza i otworzył drugie drzwi.

Związana Darja leżała na luksusowo prezentującym się biurku, z którym nie mogło się równać to, które stało w gabinecie Součka. Na widok Kovařa w oczach dziewczyny pojawił się wyraz ulgi.

Gabinet Benedikta, z którym sąsiadowało pomieszczenie mieszkalne, miał tyle możliwych zakamarków nadających się na kryjówkę, że JFK najpierw starannie przejrzał cały apartament. Podeszedł jeszcze do drzwi, jakie dostrzegł zaraz po wejściu do gabinetu. Spróbował otworzyć. Nie były zamknięte.

Dmuchnął na niego ciepły, wilgotny powiew, jakby z zupełnie innego świata. Kovař zobaczył przed sobą łąn zboża, kończący się szklaną ścianą na samym skraju dachu.



Szybko zamknął drzwi, założył haczyk i podszedł do dziewczyny, która już zaczęła się niecierpliwie wiercić. Wyciągnął knebel i przeciął więzy na rękach.

– Już myślałam, że wróciłeś do Wyenny – wymamrotała zdrętwiałym językiem.
Kovař skrzywił się tylko.

– Takiej sztuki nie zostawiłbym przecież na lodzie – spróbował naśladować głos Vořtraka, uwalniając równocześnie nogi Darji.

Pomógł jej wstać. Syczała z bólu, w miarę jak wracało czucie w zdrętwiałych kończynach. Nagle usłyszeli szcęk klamki przy drzwiach wiodących do szklarni.

Zdążyli obejść biurko, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem. Stał w nich Viktor Benedikt.
– Może i szybko działasz, ale mało przy tym myślisz – rzekł całkiem spokojnie i

wskazał na Darję. – Uwolniłeś ją, a to nie najlepszy pomysł.

JFK oczekiwał jakiegoś ruchu zapowiadającego atak mutanta. Lecz kiedy Benedikt nadal stał oparty o futrynę, odpowiedział:

– To zależy, po której stronie stoisz, spryciarzu.

Mutant zaśmiał się i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Co ci nagadała? – Spojrzał na Darję. – Niby to łowczynie, ale jak mi ją przynieśli, miała przy sobie gajgera.

Kovař zaczął pojmować, ku czemu Benedikt zmierza, i miał złe przeczucia. Mutant to zauważył, wykrzywił twarz.

– Odstawiła przed tobą inkwizytorkę, a ty dałeś się nabrać. Jak mówią, najciemniej pod latarnią.

Kovař rzucił okiem na Darję, kręcącą głową z niedowierzaniem.

– Inkwizytor zawsze robi wrażenie. Mam rację, siostrze? – zwrócił się do niej Benedikt.

– Nie wierz mu, Hans – powiedziała Darja, nie spuszczać mutanta z oczu. – Chce nas poszczuć przeciwko sobie. Dobrze wie, że sam nie da rady przeciw nam dwojgu.

Mimo że starała się mówić normalnym tonem, w jej głosie zabrzmiała jakaś fałszywa nuta. JFK przypomniał sobie Otto Hilkego, który zniknął w najbardziej dogodnym momencie. Uświadomił też sobie, że pokazała mu wprawdzie gajgera, ale nie widział jego działania. A przede wszystkim... już go raz okłamała.

Benedikt odgadł wątpliwości Kovařa i roześmiał się cichym, nieprzyjemnym śmiechem. Darja też zorientowała się, o czym Kovař myśli.

Agent, przyzwyczajony do natychmiastowego reagowania, nie zdążył się nawet poruszyć. Zobaczył tylko, że dziewczyna się odwróciła. A później z siłą niezwykłą dla zwykłego człowieka uderzyła go pięścią.

John Francis Kovař zderzył się ze ścianą oddaloną od niego o trzy metry. Ale o tym już nie wiedział.

CZAS APOKALIPSY



Pośród łanu zboża, w ostrym świetle, walczyły dwie istoty, jak nierea cienie. Chociaż wyglądały na ludzi, niewiele miały wspólnego ze swymi przodkami. Ruchy istot były niewiarygodnie szybkie i dokładne, mimo że ograniczały je geny tych, których postać przejęły.

Benedikt wykonał unik przed kopniakiem wymierzonym w brzuch, zawirował w piruecie i uderzył Darję w tył głowy. Stęknęła boleśnie, ale padając, przeszła do przewrotu i błyskawicznie stanęła na nogi.

Krążyli wokół siebie, ciężko dysząc i depcząc dorodne kłosa. To pojedynek z równym sobie przeciwnikiem, nie to, co z tymi ludzkimi niedojdami, pomyślał Benedikt.

– Nie najgorzej, siostrzyczko – warknął ironicznie. – Ałe to nie wystarczy.

Uważnie śledził jej ruchy, mogące zwiastować nadchodzący atak.

Potrząsnęła głową i wyszczerzyła zęby.

– Jeszcze zobaczymy, Kmorr – po raz pierwszy wypowiedziała jego prawdziwe miano.

– Mam nadzieję, że nie narobisz w gacie, nie chciałabym ganiać za tobą przez całą tę kurewską planetę.

Mutant ustawiał się tak, żeby mieć dziewczynę stale przed sobą. O tym, co powiedziała, nawet nie pomyślał. Mógł oczywiście złamać materię i zniknąć, jak to już kilka razy zrobił. Ale tym razem był bardzo blisko celu – miał szansę opuszczenia tego świata i nie chciał jej stracić. Nawet gdyby przyszło mu zginąć.

Darja skoczyła i skuliła się, usiłując podciąć przeciwnikowi nogi. Ale już ich tam nie było.

Kmorr wybił się w powietrze i kopnął z całej siły. Zdążyła zrobić unik i jego but przeleciał niebezpiecznie blisko. Przetoczyła się, usuwając się z jego zasięgu.

Kmorr oparł się chęci odrzucenia swego ciała. Chociaż człowieka, do którego przedtem należało, uważano za silnego, szybkiego i wojowniczego, było to przecież niewiele w porównaniu z siłą, jaką dysponował organizm mutanta. Ale wiedział, że będzie jeszcze potrzebował ludzkiej postaci.

Teraz on zaatakował. Bez przygotowania, błyskawicznie i z całą mocą.

Zasypał mutantkę gradem potwornych ciosów. Odbijała je z dużym trudem, po czym przeszła do kontrataku. Trafiała go w żołądek, ale zdążył na czas napiąć mięśnie brzucha. Przyspieszył, przewinął się koło niej i uderzeniem przedramienia obalił na ziemię.

Rzucił się na nią i zablokował nogi. Uderzyła Kmorra w żebra, a gdy zamierzała zrobić to jeszcze raz, zamachnął się do kończącego walkę ciosu.

Ale jego pięść nie opadła, bo niczym rozjuszony nosorożec uderzył w niego JFK.



Przez objęty ulicznymi walkami Praag posuwała się niejednorodna grupa mężczyzn i kobiet. Byli w niej członkowie wszystkich klanów – rzemieślnicy, łowcy, policjanci, handlowcy i inni, a nawet jedna kurtyzana – uzbrojeni w strzelby, miecze, noże, obuszki i żelazne drągi. Między nimi szedł i ten, który podawał się dotąd za Helmuta Lindego, zastępcę jednego z wyenneńskich handlarzy artefaktami.

Mijali grupy walczących, głusi na huk wystrzałów, bojowe okrzyki, nie zwracając uwagi na zabitych leżących na ulicach, jakby ich to wszystko nie dotyczyło.

Szli szybko, prawie biegle, zmiatając wszystkich, którzy stali im na drodze. Ich twarze wyrażały determinację ludzi zdecydowanych iść do celu bez względu na jakiegokolwiek przeszkodę. Przypominali watahę wilków, która wiedziała, że zdobycz już im nie umknie.

Zmierzali ku dwóm najwyższym w mieście budynkom, w których powinni znaleźć tego, którego od dawna poszukiwali.



Przed wejściem do budynku klanu rolniczego trwała zażarta walka. Kiedy dotarli tam łowcy prowadzeni przez Jeremiasza Messnera, pierwsi z nich zablokowali drzwi i wtargnęli do holu. Z początku wyglądało to na łatwą akcję, ale z wnętrza budynku nadbiegło komando Benedikta i z furią rzuciło się na napastników. Zaczęła się brutalna rzeź i łowcy musieli użyć wszystkich sił, żeby przeciwstawić się wyszkolonym profesjonalistom.

W holu rozbrzmiewał szcęk mieczy, rżenie umierających, krzyki i rozkazy dowódców. Strzelać w takim zamieszaniu nikt nawet nie próbował.

Messner rozłupał czaszkę jakiemuś człowiekowi, który stanął mu na drodze, i przedarł się do wyjścia. Tony ego dostrzegł od razu. Stał w największym rozgardiaszu bitewnym i rozdawał ciosy trzonkiem oszczepu. Krwawił z rany na czole, ale oczy gorzały mu bojowym szaleństwem. Tłukł, kopał, wymachiwał pięściami, rechocząc przy tym radośnie.

Przywódca klanu odepchnął jakiegoś chłopinę, który plątał mu się pod nogami, prosto pod ostrze jednego z łowców, i zbiegł po krótkich schodach.

– Tony! – ryknął i zaczął przedzierać się przez gąszcz walczących ku szalejącemu osiłkowi. Ale ten go nie usłyszał.

Zabił dwóch ludzi, zanim dotarł do siłacza. Tony zauważył ruch obok siebie i zamierzył się oszczepem. Wstrzymał uderzenie tuż przed twarzą Messnera.

– Kurwa, Tony! – ryknął przywódca łowców, schwycił zabijakę pod pachy i wskazał dom stojący przed nimi.

Przebili się do niego i oparci o chłodny mur oddychali z trudem. Messner kiwnął brodą na budynek obok.

– Weź dwudziestu najlepszych chłopów i dostańcie się do środka – zaryczał. – Wpadnijcie na nich od tyłu. – Wskazał w górę, gdzie plantacje na dachach obu budynków otaczała wąska galeryjka.

Tony wyszczerzył zęby, kiwnął głową i rzucił się z powrotem w tłum walczących. Messner słyszał, jak wykrzykuje nazwiska i rozkazy do akcji.

Wyczekująco popatrzył w głąb ulicy prowadzącej w prawo. Wiedział, że tak szybko jego ludzie nie zdążą nic zrobić, goniec z rozkazami wyruszył z miasta zaledwie przed godziną.

Przywódca klanu łowców wytarł krew z ostrza miecza i popatrzył znowu do góry. Gdzieś tam na szczycie budowli mutant w ciele Benedikta przetrzymywał jego bratanicę, a Messner przysiągł sobie, że zrobi wszystko, żeby wydostać Darję żywą. Chciał po śmierci móc spojrzeć bratu prosto w oczy.

Splunął i uniósł miecz. Miał nadzieję, że ten kowal na górze jeszcze żyje.



JFK starał się jak mógł. Benedikt, czy też Kmor, jak nazwała mutantka Darja, był niezwykle groźnym przeciwnikiem. Szybki, dokładny, z doskonałą koordynacją ruchów. Dać się złapać w jego uścisk znaczyło pewną śmierć.

Mutant rzucił się na niego, Kovař machnął nożem. Chybił, lecz zdołał drugą ręką zablokować ramię napastnika. Minęli się w obrocie i równocześnie zaatakowali. JFK schylił się i pięść mutantka przeleciała nad nim. Kmor natomiast zrobił unik przed pchnięciem Kovařa.

Krążyli wokół siebie, atakowali, wyprowadzali ciosy, markowali uderzenia i je odbijali. Mutant starał się go złapać, ale JFK za każdym razem się wyślizgiwał. Starał się wymyślić jakiś sposób na przeciwnika, na dłuższą walkę w tym stylu nie wystarczy mu sił. Darja zbliżała się do nich ostrożnie.

Nawet nie pomyślał o tym, że uniemożliwił Kmorowi jej zabicie. W końcu on też zawdzięczał dziewczynie życie i teraz wyrównał tylko rachunek.

Zablokował atak mutantka, jednak drugiego ciosu już nie uniknął. Znow przeleciał aż do betonowej podmurówki, w której osadzona była metalowa rama szklarni. Kmor rzucił się na agenta, lecz zanim zrobił drugi krok, Darja skoczyła mu na plecy.

Kovař wygramolił się na nogi i szybko do nich podbiegł. Mutant odrzucił dziewczynę na pole, potem wymierzył Kovařowi kopniaka.

JFK po raz drugi pofrunął w powietrze, jednak tym razem miał mniej szczęścia. Trafił plecami w szybę i z brzękiem tłuczonego szkła wypadł przez nią na zewnątrz. Upuścił nóż i macając wokół siebie, próbował go odnaleźć, ale bez powodzenia. Lodowaty wiatr uderzył Kovařa w twarz, za plecami ziała sześćdziesięciometrowa przepaść między oboma domami.

Mocne uderzenie prawie odebrało agentowi oddech.

Na drodze stanęła mu metalowa klatka schodowa łącząca budynki. Ześliznął się po niej, minął słupek balustrady i zaczął spadać. Końcami palców złapał brzeg galeryjki, lecz gdyby nie rękawice, chyba nie zdołałby się utrzymać.

Poprawił chwyt, nie patrząc pod siebie, i zebrawszy wszystkie siły, zaczął windować się w górę.

– Opuść sobie na przyszłość podobne sztuczki, chłopie. – Zatrzymał go głos Kmorra. – Przez chwilę myślałem, że to twój koniec.

Kovař spojrział w górę i spostrzegł mutanta przełazącego przez dziurę po wybitej szybie.

JFK ostrożnie przesunął się na rękach dalej od niego.

– Jeszcze nawet na dobre nie zaczęliśmy, ty kupo zmutowanego gówna – wycedził przez zęby, chwycił mocno za balustradę i wyciągnął się na galeryjkę.



Bruno Lebovsky wprawdzie cieszył się perspektywą strzelaniny, ale wyobrażał ją sobie trochę inaczej.

Czas do nadejścia zmroku zamierzał spędzić na przyjemnościach – pograć w kasynie, wypieprzyć jakąś dziwkę, porządnie podjeść i popić, a dopiero kiedy przyjdzie goniec od Waltra, wyjść na ulicę ze swoimi chłopcami i spacyfikować powstańców.

Nic z tych planów nie wyszło, znajdował się wprawdzie na ulicy, ale gwizdały koło niego kule, jego chłopcy klęli, a ci, którzy nie mieli szczęścia – umierali. Napastnicy zaatakowali w niedogodnych dla gangsterów sytuacjach, dla Lebovsky'ego zaś dosłownie niewygodnej. Właśnie miał się wesoło zabawiać z pewną rudowłosą pięknotką, gdy do pokoju wpadł Bedar, rycząc, że przewrót już się rozpoczął.

Lebovsky nie na darmo był szefem mafii. Zamiast go zwymyślać i wyrzucić na zbity pysk, jak by to zrobił ktoś inny w takiej sytuacji, naciągnął tylko gacie i portki, wbił się w kozuch, wyjął z szuflady pukawkę i pobiegł do kasyna.

Było gorzej niż myślał. Po kilku godzinach musieli zmykać z jaskini hazardu i teraz uciekali do centrum, żeby dołączyć do ludzi Součka. Nie wiedział, czy im się to uda, bo powstańcy gonili ich tak wściekle, jakby postradali zmysły.

Bruno odwrócił się, wycelował i strzelił. Stękający z wysiłku chłopina z uniesionym mieczem wykonał salto i upadł, podcinając nogi biegnącemu za sobą.

Gangsterzy nie mieli czasu nabijać powtórnie broni, biegnący w tyle zatrzymali się, aby stawić czoła napastnikom. To się Lebovsky'emu spodobało, w końcu za to im płacił.

Falanga wrzeszczących nieprzyjaciół wpadła na czekających, zalała ich i zostawiła za sobą martwych.

– Kurwa – zaklął Bruno, odrzucił pistolet i zaczął uciekać jeszcze szybciej.

Zaklął po raz drugi, gdy nagle z poprzecznych ulic wyłonili się ponuro wyglądający mężczyźni i zastąpili im drogę.

Pięciu mafiosów zatrzymało się zaskoczonych. Za plecami mieli rozjuszony tłum, a przed sobą gromadę niebezpiecznie się prezentujących ludzi. Prowadził ich przywódca klanu rzemieślników, z masywnym młotem kowalskim w ręce.

– Czy nie moglibyśmy jakoś się dogadać? – zawołał Lebovsky z dobrodusznym uśmiechem.

Smuga dymu przeleciała w powietrzu i Bruno poczuł na twarzy nagły ból. Huku czterech wystrzałów już nie usłyszał.

– Nie moglibyśmy – rzekł David Budač, podnosząc młot znad krwawej miazgi, która była kiedyś twarzą mafijnego bossa.



Jeremiasz Messner był wściekły.

Podczas gdy Tony i jego kompani zajmowali drugi budynek, pozostali łowcy z przywódcą klanu ginęli z rąk zabijaków Benedikta.

Messner przypominał demona z najgłębszych ostępów piekła. Spryskany krwią zaciekle odpierał ataki, w końcu oparł się plecami o mur, zrobił unik przed śmiertelnym cięciem i z wściekłością zatopił miecz w brzuchu przeciwnika.

Spośród łowców, którzy przedarli się do holu, nie żył już ani jeden i przywódca klanu zaczął obawiać się o wynik walki. Zanim dotrą posiłki prowadzone przez Korbmanna i Budača, reszta łowców też będzie martwa.

Zabił właśnie kolejnego „benedyktyna”, kiedy nagle z bocznej ulicy wyroiła się gromada mężczyzn i kobiet. Messner zauważył, że pochodzili z różnych klanów. Nieoczekiwane posiłki przedarły się przez walczących, w okamgnieniu zlikwidowały

obrońców przy drzwiach o wniknęły do budynku.

Messner nie wierzył własnym oczom. Tak sprawnej akcji jeszcze nigdy nie widział.

Żołnierze Benedikta zawahali się, a Messner natychmiast to wykorzystał. Z rykiem godnym atakującego mastodonta zaczął przebijać się do drzwi, resztką łowców ruszyła za nim.

Jatka nie trwała długo.



Waltr Souček sprawdził strzelbę i wyszedł z gabinetu. Nie chciał ginąć niczym szczur zagnany do kąta.

Ktoś musiał ostrzec tych zasranych bękartów, że zostali zdradzeni, i zdecydowali się na wcześniejszy atak. Souček zajadał właśnie soczysty stek, gdy usłyszał strzelaninę. Pozostający dotąd w ukryciu napastnicy rzucili się nagle na siedzibę policji, jednak funkcjonariuszom udało się w porę zabarykadować drzwi i atakujący musieli zadowolić się oblężeniem.

Souček, klnąc na czym świat stoi, zszedł na parter. Nie znosił sytuacji patowych, tak samo jak marnowania nabojów. Obie strony przez jakiś czas ostrzeliwały się wzajemnie, lecz palba szybko ustala. Jedni i drudzy przyjęli postawę wyczekującą, ale Souček już podjął decyzję.

Liczył na to, że dołączy Bruno ze swoimi chłopcami, jednak minuty upływały i nic takiego nie następowało. Souček zdawał sobie sprawę, że pozostanie w budynku równa się samobójstwu. Nie zależało mu, żeby powiesił go jakiś trybunał ludowy.

Podszedł do drzwi, od których policjanci odciągnęli już meble, i przyjrzał się swoim ludziom.

– No fajnie, chłopcy! – zagrzemiał. – Te niebożęta myślą, że zapędzili nas w kozi róg. Ale bardzo się mylą.

Po bladych twarzach policjantów poznał, że nie są tego pewni.

– Wiem, że się boicie, jednak kto może uratować uczciwych obywateli tego miasta, jeśli nie my?! – krzyczał dalej. – Właśnie po to tutaj jesteśmy.

Odezwał się pomruk wyrażający zgodę. Souček wskazał na drzwi.

– Jesteście, kurwa, policjantami! – ryknął. – Pokażcie im, co to oznacza.

Ludzie odpowiedzieli głośnymi okrzykami, przygotowali broń, dwóch z nich otworzyło drzwi. Stojący za nimi strzelcy dali ognia, zaś pozostali wybiegli na zewnątrz poprzez dym wystrzałów.

Szef policji przypadł do ziemi, gdy tylko znalazł się na ulicy. Huknęła druga salwa, na

którą oblegający również odpowiedzieli ogniem. Tak jak Souček przypuszczał, było to tylko kilka pojedynczych wystrzałów.

Strzelby i pistolety mogli nosić jedynie członkowie klanu policyjnego, sam się o to postarał. No i oczywiście banda Lebovsky ego.

Spojrzał w lewo. Ulica była zablokowana przyczepami wyenneńskiej karawany.

Zaklął i powstał. W tym momencie z ulic, domów i magazynów zaczęli wybiegać powstańcy. Policjanci odrzucili strzelby, wyciągnęli pistolety i ruszyli za szefem.

Prowadził ich prosto do siedziby klanu rolniczego. Modlił się, żeby żołdacy Benedikta zdołali go uratować. Gdy połączy się z mutantem, wtedy miasto pozna, kim jest Waltr Souček.



Kovař i Kmorr balansowali na oblodzonej klatce schodowej, agent cofał się, a mutant coraz szybciej zbliżał do niego. Jeden nieostrożny krok oznaczał pewną śmierć. Oprócz tego musieli przeciwstawiać się porywom lodowatego wiatru wiejącego na górze z niebezpieczną siłą.

Darja podeszła do skraju dachu i uważnie obserwowała ich poczynania. Sprawiała wrażenie drapieżnika, wyczekującego na dogodny moment do ataku.

JFK znów cofnął się nieco, utrzymując równowagę rozpostartymi ramionami. Nagle usłyszał hałas, zgiełk wielu podnieconych głosów, przytłumionych przez ścianę szklarni. Z tyłu, za Darją pojawiły się niewyraźne sylwetki. To na pewno łowcy Messnera, pomyślał.

Mutantka odwróciła się czujnie, a Kovař cofnął o kolejny krok. Kmorr zatrzymał się na widok przybyszów, lecz zaraz znów ruszył w kierunku agenta.

Zabręczało rozbijane szkło. Kovař zobaczył Darję otoczoną przez kilku ludzi. Triumfujący wyraz jej twarzy wyjaśniał wszystko – znała ich, wiedziała, kim są. JFK dostrzegł Lindego i zrozumiał. W mieście żyło więcej mutantów.

Kmorr zaryzykował szybki rzut oka przez ramię, a potem ryknął z wściekłością. Jego ciało napięło się niczym cięciwa łuku. Uniósł głowę ku niebu, wydając z siebie nieludzki skrzek. I zaczął się przeobrażać.

JFK z osłupieniem obserwował, jak jego twarz pęka i faluje. Ludzka powłoka zaczęła się rozpadać, gdy mutant wyrzucał obce komórki ze swego organizmu. Pojawił się ciemny, kościany pancerz ociekający krwawą masą. Przeobrażenie trwało tylko krótką chwilę i oto przed Kovařem stanęła potężna, czarna bestia. Opuściła głowę, otworzyła pysk pełen ostrych zębów i zmrużyła białe oczy pozbawione źrenic.

JFK zrobił szybki krok do tyłu, ale noga mu się pośliznęła i stracił równowagę. Mutant

skoczył, wpadł na Kovařa i złapał w silny uścisk. W chwilę później obaj spadali, niewiarygodnie szybko zbliżając się ku ziemi. Nad nimi zabrzmiały wściekłe wrzaski i dźwięk rozbijanego szkła.

Lecąc w powietrzu, agent zauważył ludzi Messnera na porozbijanej szklarni drugiego budynku.



Adam Korbmann trzaskał z bata nad głowami psów i gnał zaprzęg ulicami Praagu. Inne zaprzęgi pędziły w tym samym kierunku równoległymi ulicami.

Tuż za jedną z przecznic zahamował i zmusił Króliczka oraz jego towarzysza, aby zwierzęta cofnęły się w nią razem z przyczepą. Ostrożnie prowadził psy wąską uliczką aż

do skrzyżowania, tarasując jej wylot. Zastukał w ścianę za sobą. Przez klapę w dachu przyczepy wyleźli czterej mężczyźni ze strzelbami, położyli się i czatowali.

Dzięki podobnym blokadom Korbmann skierował policjantów w te miejsca, w które zamierzał ich wpędzić. Miał nadzieję, że Messner prawidłowo wyliczył czas, bo w przeciwnym razie nie unikną masakry. Choć wyenneński wysłannik był przygotowany i na taką możliwość. Rozległy się okrzyki, tupot nóg, sporadycznie padał strzał. Ludzie Součka wbiegli w pole ostrzału, a spostrzegłszy przyczepy stojące w bocznej uliczce, natychmiast pobiegli w drugą stronę. W tym momencie huknęły cztery wystrzały.

Zabitych wdeptał w śnieg ryczący tłum prowadzony przez Budača.

Strzelcy wleźli znów do ciepłej przyczepy i Korbmann trzasnął z bata. To była już ostatnia blokada, którą powinien ustawić. Pozostawało tylko zmienić miejsce, tworząc tym sposobem drugie ramię kleszczy, które już wkrótce miały się zewrzeć.

Zanim sanie wyjechały z uliczki, ziemia pod nimi zadrzała. Korbmann uśmiechnął się z zadowoleniem.



JFK spisał w duchu testament i kilkakrotnie przebiegł myślą całe swoje życie. Kiedy mógł już dostrzec pod sobą każdą grudkę śniegu, mutant w końcu zareagował.

Puścił jedną ręką Kovařa i w dokładnie wyliczonym momencie uderzył wraz z nim w ścianę domu. Zderzenie z murem wstrząsnęło agentem. Uścisk Kmorra zelżał i JFK spadł jeszcze o dwa metry niżej, zaliczając raczej twarde lądowanie.

– To najlepszy skok na bungee w moim życiu – zachrypiał, spoglądając w górę.

Czarna bestia trzymała się jedną ręką parapetu okna. JFK aż zadrzał na myśl o tym, jak niewiarygodna siła skrywa się w jej muskularnych ramionach. Zwyczajny człowiek leżałby na ziemi rozłożony na czynniki pierwsze, pomijając oczywiście rękę. Ta wisiaby na parapecie piętro wyżej.

Mutant rozwarł paszczę, zamruczał gardłowo i zeskoczył na ziemię obok oszołomionego Kovařa.

Zadudniło, a ziemia pod nimi zadrzała.

Kmorr ze zdumieniem popatrzył pod swoje nogi. Dudnienie odezwało się znowu, jakby bliżej.

Bestia zasyczała ze złością, przyklękała, schwyciła Kovařa za głowę i rozwarła paszczę. Pojawił się w niej spiczasty język z otworem na czubku, którym mutant przebijał ciała ofiar i wysysał z nich materiał genetyczny.

Kiedy coraz silniejsze, rytmiczne dudnienie wprawiało w drżenie wszystko dookoła,

Kovař podarł wirtualny testament i przewinał wszystkie kasety ze swoim życiorysem na sam koniec.

Cisnął Kmorrowi w twarz garść śniegu. Uścisk rozluźnił się nieco, a to wystarczyło agentowi w zupełności. Najsilniej jak mógł kopnął mutanta w krocze.

Bestia ryknęła i puściła Kovařa.

JFK zerwał się i co sił w nogach pomknął ku zbliżającemu się dudnieniu.

Dobiegł do narożnika głównej ulicy, gdy niespodziewanie, tylko o centymetry minęła go wielka, kosmata noga. Przypominała stuletni pień, któremu było tak zimno, że zdecydował się ubrać.

Kovař nie tracił czasu i skoczył w wolną przestrzeń. Nie wątpił, że jego prześladowca będzie go gonił.

Miał uczucie, jakby znalazł się w środku zestawu perkusyjnego, na którym wykonywał solową partię bębniarz z zespołu Rammstein ^[4]. Tuż przy nim ryczał i trąbił przestraszony mastodont, za nim tłoczyły się następne. Łowcy Messnera nie zadowalali się byle czym.

W chwili, gdy mijały go tylne nogi zwierzęcia, Kovař skoczył.

Mocno uchwycił się grubych kudłów i zaczął się po nich wspinać. Dotarł zaledwie do kolana mastodonta, kiedy coś złapało go za kostkę.

Mocniej ścisnął długie włosie i obejrzał się. Rozwścieczony mutant był tuż za nim. Zanim zdołał go złapać, Kovař zjechał niżej i silnie kopnął potwora w pysk.

Tak człowiek, jak i mutant zawsze musi odczuć kopniaka w twarz. Kmorr zachwiał się, przez chwilę wydawało się, że spadnie, ale utrzymał się i znowu popełził do góry.



Na dachu domu niekonwencjonalnym sposobem opuszczonego przez Kovařa i mutanta rozgorzała walka.

Jeden z łowców, który towarzyszył Tony emu, sięgnął do pasa i wyciągnął metalowy walec. Gajger rozłożył się w ciągu sekundy i aktywował fotoogniwa. Inkwizytor skierował przyrząd w kierunku domu naprzeciwko, gdzie stała Darja ze swoimi pobratymcami i urządzenie głośno zatrzeszczało.

W tym momencie dotarł tam Messner z pozostałymi łowcami. Wbiegli na pole zniszczonego zboża, które zdążyło już zwiędnąć i przemarznąć, gdzie ujrzeli zdekonspirowanych mutantów, pozbywających się ludzkich postaci.

– Darjo! – ryknął do dziewczyny, która stała między nimi, spoglądając w przepaść dzielącą oba budynki.

Podczas gdy pierwsi śmiałkowie prowadzeni przez inkwizytora i Tony ego forsowali

metalową klatkę schodową, Darja z uwagą obserwowała pomyślne lądowanie obu przeciwników. To była szalona akcja, nawet dla mutantów, mimo to łowczyńi zdecydowała się pójść w ich ślady.

Już szykowała się do zrzucenia ludzkiego przybrania, kiedy poczuła pierwsze drgania ziemi. Potem usłyszała ryki nadbiegających mastodontów. Odwróciła się, zdecydowana na nie mniej niebezpieczne, lecz według niej lepsze rozwiązanie.

Zniszczenie gromadki powstańców pozostawiła swoim przyjaciołom i pobięła ku przeciwnemu skrajowi dachu.

Messner zobaczył zbliżającą się Darję, uśmiechnął się radośnie i przyśpieszył kroku. Gdy mijali się w biegu, zabiła go silnym ciosem w krtań i przebiegła pośród dezorientowanych łowców.

Mijając apartament Benedikta z prawej strony, rzuciła się na szklaną ścianę.

Przebiła ją i lecąc pośród rozprysniętych odłamków szkła, odrzuciła ludzką powłokę łowczyńi Darji. Przeobraziła się w mutantkę Maurę.



Gdy Waltr Souček wraz ze swymi ludźmi wybiegł na główną ulicę, zrozumiał, że wpadli w pułapkę. Ale było mu wszystko jedno. Płomyk szaleństwa tłący się w jego mózgu rozpałił się na dobre. Szef policji chciał już tylko zabijać.

Ziemia pod jego nogami zachowywała się niczym żywa istota. Trzęsła się i dudniła, maltretowana przez kilkutonowe kolosy, gnające na policjantów jak niemożliwa do zatrzymania fala.

Policjanci wrzasnęli ze strachu, rzucili broń i przeklinając swojego szefa, zaczęli zwiewać co sił w nogach.

Wszystkie okna i drzwi wokół nich pozostawały zamknięte, boczne ulice zablokowane. Nie było dokąd uciekać.

Souček niczego nie żałował. Gnał ulicą niczym zdziczałe, bezmyślne zwierzę i pomimo znacznej nadwagi wysforował się na czoło uciekających.

Wiedział, że nie będzie musiał biec daleko, bo około stu metrów przed nim już dostrzegł komitet powitalny.



Ludzie Korbmann'a zagrodzili przyczepami całą szerokość ulicy i z bronią w ręku obserwowali przerażający spektakl.

Stłoczone pomiędzy budynkami kudłacze, poganiane od tyłu przez łowców, wściekle tłukły wokół siebie kłami i trąbami. Zaledwie kilka metrów przed nimi zmykały resztki sił

policyjnych z Součkem na czele.

Korbmann stał przy Króliczku i uspokajał go, z ręką zanurzoną w sierści. Ogromny pies warczał, szczyrzył zęby, drżał z podniecenia, ale posłusznie czekał. Tak jak jego towarzysz, którego trzymał jeden z kupców.

Tymczasem rzemieślnicy obiegli blok od tyłu i zdyszany Budač przepchnął się do Korbmannu. Widząc nadbiegającego Součka, rzucił mu się naprzeciw.

– Davidzie, nie! – ryknął Korbmann, ale mistrz kowalski nie usłyszał.

Słuszny gniew miał się o pięćdziesiąt metrów dalej zderzyć z szaleństwem, nie doszło jednak do tego.

Souček w ostatniej chwili zrobił unik, zostawiając przeciwnika na pastwę rozwścieczonym policjantom. Gromada niebieskich uniformów ogarnęła kowala, a za nimi pędziła falanga ryczących mastodontów.

Na grzbiecie pierwszego z nich JFK i Kmorrr starali się nawzajem pozabijać.



Maura spadła na zwierzę biegnące za nimi.

Nie utrzymała równowagi, zaczęła ześlizgiwać się z potężnego cielska, ale nie na darmo przez kilka miesięcy nosiła ciało łowczynie.

Złapała za kudły i wgramoliła się na grzbiet mastodonta. Widziała, jak Kovař i Kmorrr zadają sobie ciosy, starając się balansować na kołyszącym się grzbiecie.

Chciała dopaść ich obu, potem sprawdzić uzdolnienia mutantu i z pomocą cudzoziemca wydostać się stąd. Cały nowy świat będzie należał do niej.

Podniosła się z klęczek, zrobiła krok do przodu, gdy naraz pierwszy mastodont ryknął i w pełnym biegu przewalił się przez łeb.

Ten, na którym stała, wpadł na niego i nagle Maurę sparaliżował niewyobrażalny ból. Z ust trysnęła krew, oblewając kiel, który sterczał z jej piersi. Mutantka umarła wcześniej, niż zdołała zrozumieć, co się stało.

Mastodont naciskany przez inne zwierzęta zatrąbił i podrzucił głowę, unikając zbliżającej się ściany. Ciało Maury spadło z kła, uderzyło w mur i zniknęło w tłumie kudłatych olbrzymów.



Gdy Korbmann przekonał się, że łańcuchy przeciągnięte przez ulicę i schowane pod warstwą śniegu spełniły swoją rolę, powoli wyszedł naprzeciw nadbiegającemu Součkowi.

Nie słyszał rozlegających się za nim okrzyków ani stale narastającego warczenia Króliczka. Szedł, koncentrując się tylko na postaci szefa policji. I na mieczu, który tamten

trzymał w ręce. Słyszał jego chrapliwy oddech i widział twarz, której wyraz świadczył o tym, że bestia zwyciężyła w nim człowieka.

Pozwolił Součkowi zrobić jeszcze trzy kroki, po czym zastrzelił jak wściekłego psa. Huk wystrzału jakby zatrzymał czas.



Uciekający policjanci stawali i jeden po drugim padali bez sił na śnieg. Za nimi przestraszone i dezorientowane mastodonty trąbiły swoją śmiertelną pieśń.

Korbmann opuścił pistolet, zwiesił głowę. Był tak zmęczony jak jeszcze nigdy dotąd.

Mężczyźni i kobiety, członkowie klanów rzemieślniczego i łowieckiego, stali w milczeniu. Nie zabrzmiał ani jeden okrzyk triumfu, nikt nie świętował zwycięstwa. Nie było miejsca na radość w obliczu śmierci tych, którzy jeszcze kilka dni temu byli ich sąsiadami.

Korbmann usłyszał za sobą warczenie Króliczka. Chciał się odwrócić i uspokoić psa, ale zatrzymał się, widząc jakiś ruch za ogromnym uchem leżącego mastodonta.

Ulicę wypełnił mrozący krew w żyłach ryk i spod dogorywającego zwierzęcia wyostało się dwóch walczących mężczyzn. Jeden z nich, czarny jak noc, nie był człowiekiem. Drugi tak, ale nie pochodził z tego świata.



John Francis Kovař czuł się tak, jakby wypadł z samolotu, wpadł pod pociąg i do tego został jeszcze przejechany przez samochód.

Pomimo to miał nadal tyle sił, żeby solidnie tłuc tego zasańca. Obaj trzymali się jak dwaj bokserzy, z utęsknieniem wyczekujący gongu na zakończenie rundy.

Gdyby nie upadek mastodonta, JFK prawdopodobnie niewiele by już czuł. Pozbawiony ludzkiej powłoki mutant przewyższał go szybkością, dokładnością, agresywnością i siłą.

Gdy zwierzę padało, stracili równowagę i przelecieli przez wielkie cielsko, a Kovař miał tyle szczęścia, że wpadł do ogromnego ucha mastodonta. Gdy się z niego wygramolił, natrafił na mutantą, którego dolna połowa ciała została przygnieciona pod pierśią kudłacza.

Potem zaszło coś niewiarygodnego. Czarna bestia uniosła się na łokciach i wywlokła na zewnątrz, przy czym udało jej się jeszcze uderzyć Kovařa. Cios nie był zbyt silny, ale wzbudził w agencie uczucie zupełnego zniechęcenia. Miał już tej młocki powyżej uszu.

Na ulicy wymienili jeszcze kilka silnych ciosów. John Francis Kovař zbierał siły do zadania ostatniego, który miał rozciągnąć mutantą na ziemi.



Kmorr był w niekorzystnej sytuacji i dobrze o tym wiedział.

Przyjmował ciosy i oddawał je, cały czas przygotowując rozstrzygający trik.

Po tym, jak przełamał materię i przeskoczył ze Ztogholtu aż tutaj, przez kilka pierwszych godzin nie był zdolny do zrobienia jakiegokolwiek ruchu. Wydatkował całą energię i znalazł się na granicy śmierci. Wykonał jednak naprawdę długi skok. Ilość energii zużytej na przełamywanie przestrzeni była bowiem wprost proporcjonalna do przebytej odległości.

Teraz również mógł jeszcze zniknąć tym ludzkim świniom. Jednak nie myślał o takim rozwiązaniu. Chciał uciec z tego świata, a cudzoziemiec był mu do tego niezbędny.

Kmorr uderzył Kovařa w brzuch, inkasując w zamian słaby cios podbródkowy. W końcu przeciwnik zamachnął się do finalnego ciosu. Zdecydował się więc go zaskoczyć...

Przywiązany do sań Króliczek wył, szarpiąc się w uprzęży.



Pozostałe psy warczały tylko groźnie i poszczekiwały. Pies Korbmann natomiast miotał się, szczyrzył zęby i wściekle targał przyczepą.

Wiatr przywiewał do niego zapach człowieka, z którym miał niewyrównane rachunki. Jego zwierzęcy mózg opanowała przemożna chęć zabijania.

Próby uspokojenia psa nie dały rezultatu i Korbmann odwrócił uwagę od toczącego się pojedynku, zdecydowany przynieść z przyczepy pistolet do usypiania zwierzęcia.



JFK machnął pięścią.



Kmorr skoczył.



Króliczek poczuł nową woń, mieszającą się z zapachem znienawidzonego człowieka. Pies targnął się do przodu, uprzęż napięła się, a przyczepą mocno zatrzęsło. Wychodzący z niej Korbmann upadł, upuszczając pistolet. Usłyszał, jak pękł pierwszy rzemień.

Szalejący pies znów szarpnął i wyrwał się z uprzęży.



Ręka Kovařa przecięła tylko powietrze, bo mutant już przed nim nie było. Zaskoczony agent potknął się i to ocaliło mu życie. Kmorr zmaterializował się za jego plecami, z paszczy wystrzelił śmiertelny język. Ale głowy Kovařa nie dosięgnął!

Druga próba nie była mutantowi dana. JFK ujrzał Króliczka kilka metrów przed sobą i rzucił się płasko na ziemię.

Ogromny rozjuszony brytan wpadł na Kmorra i zaczął go rozszarpywać na kawałki.

UCIECZKA Z GENWY (REMAKE)



John Francis Kovař przeciskał się przez tłum ludzi, drżąc z zimna.

Mimo że terminal międzynarodowego lotniska w Genewie oświetlały promienie ciepłego, lipcowego słońca, a klimatyzacja utrzymywała temperaturę na poziomie dwudziestu, dwudziestu dwóch stopni powyżej zera, dla Kovařa, który zaledwie przed tygodniem wrócił z lodowatej przyszłości, ciepła było stanowczo za mało.

Po walce z Kmorrem zmusił się jeszcze do przesłania agencji informacji o wypełnieniu misji i prośby o podanie współrzędnych okna hiperprzestrzennego. Potem z ulgą oddał się pod opiekę Gitty Korbmann, resztę czasu spędzając na rozmowach z jej mężem. Dowiedział się od niego, że większość mutantów została zabita, a za tymi, którym udało się uciec, ruszyli w pogoń inkwizytorzy. Członkowie klanów policyjnego i rolniczego wybrali nowych przywódców, rozpoczęto naprawę szklarni i życie społeczności powoli wracało do normy.

Nagły ból w kolanie wyrwał Kovařa ze wspomnień. Łysy człowieczek w białej koszuli wymamrotał przeprosiny i zniknął w tłumie wraz z walizką, którą uderzył agenta.

Był szczyt sezonu turystycznego i terminal dosłownie pękał w szwach. Ludzie stali w kolejkach do odprawy, wyczekiwali w kawiarenkach lub przesiadywali na ławkach. Jedni odlatywali, inni przylatywali, jeszcze inni wypatrywali swoich bliskich lub partnerów handlowych, a pozostali byli tu po prostu zatrudnieni.

JFK wyszukał numer swojego lotu na elektronicznym wyświetlaczu i odnalazł właściwe stanowisko. Stał na końcu dziesięciometrowej kolejki, pomrukując z niezadowolenia.

Stojąca przed nim blondynka odwróciła się.

– Właśnie tak to wygląda, proszę pana. A co gorsza, wcale się nie rusza – powiedziała, wzdychając i przyglądając się Kovařowi ubranemu w płócienne spodnie, białą koszulę i słomkowy kapelusz.

Mogła mieć około trzydziestu pięciu lat i kiedy mówiła, z kącików ust rozbiegały się delikatne zmarszczki. W jakiś szczególny sposób dodawało jej to uroku.

JFK zrobił cierpiętniczą minę, a kobieta uśmiechnęła się i odwróciła z powrotem.

Agent nagle wyobraził sobie panią de Villefort, której na próżno szukał po powrocie. Wraz z Yangiem nadal wykonywała misję hi-tech i wrócić miała najwcześniej za miesiąc. Kovař przeszedł przez całą mordęgę przesłuchania przed Komisją Kontrolną, podczas

którego Wolfgang, zgodnie ze swoją naturą, uprzykrzał mu życie jak mógł, więc czuł się jeszcze bardziej zmęczony niż po powrocie z Praagu.

Ale w końcu był w drodze do gorącej Indonezji, dni spędzane na plaży, zaś wieczory w barze u Dinga miał wreszcie na wyciągnięcie ręki.

Właśnie wyobrażał sobie znakomity smak serwowanych tam trunków, nieporównywalny z palącą gardło praagską wódką, kiedy stojącej przed nim kobiecie upadł bilet.

Dobrze wychowany Kovař schylił się, ale zanim zdążył go dosięgnąć, zderzyli się z blondynką głowami.

Nastąpiła klasyczna wymiana grzeczności i przeprosin, lecz po chwili udało im się opanować sytuację. Blondynka miała na policzkach lekki rumieniec i JFK uznał, że jest jej z nim do twarzy.

Zawadiacko poprawił przekrzywiony kapelusz i podał bilet.

– Widzę, że mamy ten sam cel – nadmienił, zauważywszy, co było napisane w rubryce „miejsce lądowania”.

– Pan też do Dżakarty? – uśmiechnęła się zaskoczona. – Będę tam przez dwa tygodnie na stażu pracowniczym.

JFK przytaknął, starając się wygnać z głowy natrętą myśl, do której nigdy by się nie przyznał, nawet pod groźbą śmierci. Ale myśl rzeczywiście utkwiała mu w głowie: może uda mu się spędzać niektóre noce gdzieś indziej niż tylko w barze.

Na próżno usiłując odrzucić to wyobrażenie, zabawiał kobietę swobodną rozmową.

W końcu kolejka zaczęła posuwać się do przodu. Jego towarzyszka odwróciła się, żeby popchnąć bagaż, a Kovař rozejrzał się, poszukując wolnych miejsc w którejś z kawiarni, gdzie mogliby przeczekać czas pozostający do odlotu. I wtedy go spostrzegł.

Przechodził przez tłum ludzi, niecierpliwie rozglądając się na wszystkie strony. Podróżni rozstępowali się przed nim i mieli ku temu powód. Twarz poznaczona bliznami, ciemne włosy ostrzyżone na mikado, mocno zbudowana sylwetka i imponująca muskulatura nadawały mu wygląd gangstera żywcem wyjętego z filmu Quentina Tarantino.

JFK wydobył z kieszeni komórkę i jęknął. Wyłączył przedtem dzwonek, ale to ich wyraźnie nie powstrzymało. Na podświetlonym displeju widniało piętnaście nieodebranych połączeń i sześć SMS-ów.

John Francis Kovař powoli wysunął się z kolejki, pokornie usiadł na swojej torbie podróżnej i czekał, aż Vega go znajdzie.

[1] Kowal w zniekształconym języku niemieckim, jakim posługiwano się w tym świecie [przyp. tłum.].

[2] Amerykański reżyser i scenarzysta urodzony w Niemczech, specjalista od efektów specjalnych, twórca filmów „Dzień Niepodległości” i „2012.” [przyp. tłum.].

[3] Lewiatan, od hebrajskiego lwyatan – legendarny potwór morski, wspominany w kilku miejscach Starego Testamentu [przyp. tłum.].

[4] Niemiecki zespół muzyczny, powstały w 1993 roku, grający industrial metal [przyp. tłum.].